Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 1 III 1968

Dziś w numerze: Bohaterowie eksperymentu • Łódzkie tradycje • Jubileusz teatru łódzkiego • Konfrontacje 67 • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosy

MIEJSKA ODZNAKA NOWOROCZNA · ŁÓDŹ

9 (539)
3. III. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Fot. E. Kudaj

Studencka MELPOMENA

Redakcja nasza miała honor i przyjemność gościć w swych progach: WOJCIECHA BOCZKOWSKIEGO — zastępcę kierownika Wydziału Kultury MRN, b. działacza studenckiego; RYSZARDA CZUBACZYŃSKIEGO — członka Komisji do Spraw Teatrów przy RN ZSP, b. kierownika „Pstrąga"; MARIANA GLINKOWSKIEGO — kierownika teatru STUŁ; JANA JAKUBISZYNA — wiceprzewodniczącego RO ZSP; JANA KWAPISZA — kierownika artystycznego i reżysera teatru „Cytryna". Goście nasi uczestniczyli w dyskusji na temat aktualnej sytuacji teatrów studenckich. „ODGŁOSY" reprezentowała MARIA KORNATOWSKA.

ODGŁOSY: Środowisko studenckie jest szczególnie bliskie sercu naszej redakcji i dlatego zamierzamy rozpocząć cykl dyskusji i artykułów poświęconych problematyce tego środowiska. Na pierwszy ogień wzięliśmy zagadnienie teatrów studenckich, bo będąc już niemal legendą, odegrały one ważną rolę w życiu artystyczno-kulturalnym Polski powojennej i w kształtowaniu oblicza i charakteru środowiska studenckiego.

JAN JAKUBISZYN: Ruch teatrów studenckich liczy sobie czternaście lat. Pierwsze zespoły „Bim-Bom", „Co to", STS powstały w roku 1954. Jest to już więc szmat czasu. Spróbuję najpierw od strony czysto organizacyjnej sprecyzować pojęcie teatru studenckiego. Jest to teatr bądź składający się w większości z aktualnych studentów bądź działający w środowisku studenckim, a tworzony przez ludzi, którzy wprawdzie do tego środowiska już nie należą, ale byli z nim jak najściślej do niedawna związani. O ile dla teatru amatorskiego sprawą najważniejszą jest wystawienie jakiegoś programu, najczęściej z repertuaru zawodowego, popularnego i ogranego, to teatr studencki poprzez swój program oparty bądź na własnych tekstach w przypadku tzw. programów składankowych, tak ongiś sławnych, bądź na adaptacjach lub cudzych tekstach, przedstawia przede wszystkim własne widzenie rzeczywistości i jej problemów, własne sprawy i niepokoje. Czyli teatr studencki, w moim przekonaniu, to pewien sposób wypowiadania się o świecie i o nas samych.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Ruch teatrów studenckich trzeba przede wszystkim rozpatrywać historycznie i dlatego nie wolno porównywać współczesnego modelu teatru studenckiego z modelem lat pięćdziesiątych. Tamten rozdział w dziejach teatru jest już zamknięty. Inicjatywa teatrów studenckich zrodziła się z chęci protestu przeciwko rozmaitym uroczystościom, zespołom świetlicowym, akademiom, wieczornicom itp. Do tego ruchu garnęli się ludzie, którzy obecnie w naszym życiu kulturalnym mają dużo do powiedzenia. Ich zainteresowanie teatrem było zatem głębsze i autentyczne. Wiązali z nim swoje aspiracje i ambicje. W ruchu teatrów studenckich szukali tego, co w ówczesnych warunkach było niemożliwe do znalezienia i zrealizowania gdzie indziej. Studenci zawsze byli i są narodem zawadiackim, mającym swoje własne, niezależne zdanie na pewne sprawy i pragnącym je za wszelką cenę wypowiedzieć. Narzędziem tej wypowiedzi stały się teksty, które

Dalszy ciąg na str. 7

jak nas widzą tak nas piszą...

Łódź, podobnie zresztą jak i inne miasta, jest częstym gościem stałej rubryki COŚ Z ŻYCIA, jaką ku rozrywce braci-Polaków prowadzi tygodnik „Polityka".

Dziś postanowiliśmy ukazać Czytelnikom nasze wspólne, łódzkie oblicze odbite w tym krzywym zwierciadle: czy to wszystko prawda? Nawet jeśli i nie — to jak mawiają Włosi — dobrze to zostało wymyślone,

WYCINKI W „POLITYCE" 1966 R. „Z ŻYCIA WZIĘTE":

nr 1/461

35-letni S. K. z Łodzi, wyłudzał pieniądze w ten sposób, że zawiadamiał różne osoby o rzekomej śmierci lub nieszczęśliwym wypadku, jakiemu uległ ktoś bliski nagabywanemu, ofiarowywał mu zawiezienie samochodem na miejsce wypadku i brał pieniądze na kupno... żarówek do reflektora nie istniejącego samochodu, którym mieli odbyć podróż.

* * *

nr 3/463

Na wokandę łódzkiego sądu niebawem wchodzi sprawa przeciwko grupie towarzyszy sztuki drukarskiej, którzy podnieśli ją na wyżyny, fałszując świadectwa szkolne i dyplomy wyższych uczelni. Wystawiali oni dokumenty optycznie w ogóle nie odróżnialne od autentycznych, biorąc po 2 tys. za maturę i po 5 tys. za tytuł magistra. Współoskarżonymi będą nabywcy, którzy po uzyskaniu dyplomów wykorzystywali je do zajęcia różnych stanowisk, wymagających odpowiedniego wykształcenia. Wśród nich „magister", który skończył tylko szkołę podstawową i ledwo pisze. Dwóch spośród trzech fałszerzy śledztwa zostało w więzieniu, gdzie odsiadywali poprzedni wyrok za tę samą działalność. Trzeci wspólnik po wsypie przyjaciół spokojnie kontynuował handel dokumentami. Klienci niezbyt biegli w sztuce pisania i czytania zazwyczaj prosili, żeby ich dyplomy szkół wyższych zawierały same trójki, co analfabetyzm by uprawdopodabniało.

* * *

nr 6/466

Reporter „Dziennika Łódzkiego" był w prowincjonalnej przychodni lekarskiej świadkiem, jak wyrzucony z gabinetu lekarskiego pacjent

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Wydarzeniem tygodnia, co sygnalizowałem w poprzednim komentarzu jest konsultatywne spotkanie delegacji partii komunistycznych i robotniczych w Budapeszcie. Po z górą 7 latach i udanej naradzie partii europejskich w Karlovych Varach doszło do wielostronnego spotkania, którego celem jest przygotowanie światowej narady.

Zaproszenia do wzięcia udziału w spotkaniu skierowano do tych partii, które uczestniczyły w naradzie moskiewskiej w 1960 roku. Jak należało oczekiwać i partia chińska i albańska odmówiły przyjęcia zaproszenia. Związek Komunistów Jugosławii, jak i poprzednio, nie uczestniczy w spotkaniu. Partia kubańska, szwedzka, japońska, holenderska — każda zresztą z innych względów — także nie wysłały swych przedstawicieli.

Ubiegłoroczna Konferencja w Karlovych Varach wykazała, że mimo nieuczestniczenia wszystkich partii — istnieje celowość dyskutowania najważniejszych problemów międzynarodowych i zajmowania wobec nich jednolitego stanowiska.

Mówił o tym na uroczystościach 20-lecia rewolucji lutowej w Czechosłowacji, Władysław Gomułka.

„Międzynarodowy ruch komunistyczny i robotniczy — podkreślał tam I sekretarz KC PZPR — który wywiera coraz bardziej dominujący wpływ na rozwój świata i którego misją historyczną jest uchronienie ludzkości przed nową wojną światową, wytyczy na przyszłej naradzie wspólny program działania w walce przeciw imperializmowi. Program taki zrodzić się może jedynie z partyjnej, otwartej dyskusji, nacechowanej wzajemnym poszanowaniem, dążeniem do uzgodnienia stanowisk, ale nie pomijającej też spraw spornych. Różnice między poszczególnymi partiami nie mogą i nie powinny podważać tego, co jest najważniejsze — ich internacjonalistycznej jedności".

Właśnie pod takim znakiem przebiega konsultatywne spotkanie w Budapeszcie. Warto szczególnie podkreślić, że stworzono na nim warunki włączenia się do dalszych przygotowań światowej narady i tych partii, które nie są reprezentowane w Budapeszcie.

Imperializm, zwłaszcza amerykański, podjął szeroką ofensywę, której celem jest odzyskanie, choćby w części, utraconych pozycji w ostatnich latach oraz powstrzymanie potężniejącej fali ruchów narodowo-wyzwoleńczych. Można zatem powiedzieć, że w różnorodny sposób — bezpośredniej interwencji w Wietnamie, sprowokowania agresji Izraela na kraje arabskie, przewrotów wojskowych i przekupywania niektórych kół burżuazji w krajach afrykańskich — próbuje on zmienić bieg wydarzeń na swoją korzyść. Próżny to trud, ale wywołujący szereg napięć międzynarodowych, z których każde nosi dziś szczególnie niebezpieczne znamiona wobec złożoności współczesnych światowych problemów.

Temu agresywnemu działaniu — szczególnie w Wietnamie — sprzyja brak pełnej jedności obozu socjalistycznego, co spowodowane jest rozłamową polityką grupy Mao Tse-tunga. W powstałą z jej winy szczelinę wciska się polityka Waszyngtonu. Można przecież wyraźnie stwierdzić, że właśnie na tym próbuje żerować Johnson, wciąż uchylając się od politycznych rozwiązań problemu wietnamskiego. I choć nie osiąga on na wietnamskiej scenie żadnych sukcesów — wciąż łudzi się, że zdoła rozegrać tę rozbieżność na swą korzyść.

Co warte są owe złudzenia — powiedział ostatnio dobitnie Robert Kennedy.

„Nadszedł czas — zauważył on rozsądnie — aby spojrzeć na tę wojnę w nowy sposób, dostrzec surową i bolesną rzeczywistość, dotyczącą wojny wietnamskiej, uwolnić się od pobożnych życzeń, zawiedzionych nadziei i sentymentalnych marzeń...

Nie zrozumieliśmy charakteru tej wojny — konkluduje Kennedy. — Nasz brak zrozumienia charakteru tej wojny polega na złudzeniu, że możemy odnieść zwycięstwo...".

Dziś — po czterech tygodniach ofensywy wojsk powstańczych — jest bardziej niż kiedykolwiek oczywiste, że na tej drodze nie może Waszyngton oczekiwać żadnych rezultatów. Ale jeśli Johnson stawia nadal na „lokalne konfrontacje sił" — to właśnie dlatego, że próbuje do maksimum wykorzystać brak pełnej jedności świata socjalistycznego.

To wyznacza znaczenie światowej narady partii komunistycznych i robotniczych, do której ważnym etapem przygotowawczym jest budapeszteńskie spotkanie, mające ustalić jej tematykę i tryb prac.

Dziś — kiedy każda partia samodzielnie i niezależnie ustala swą politykę, co w pełni uzasadnione jest odmiennością warunków działania i specyfiką problemów narodowych — dobrowolne skoordynowanie poczynań może następować tylko na szerokim forum narad, po rzeczowej konfrontacji poglądów.

Poświęciliśmy spotkaniu konsultatywnemu nieco więcej uwagi, ponieważ jest to wydarzenie nr 1 ostatnich dni.

Innymi, frapującymi opinię publiczną są wciąż: Wietnam i Bliski Wschód, a w związku z tym rozmowa U Thanta z prez. Johnsonem i misja Jarringa. O obu, niestety, nie można mówić w optymistycznym tonie. W pierwszym wypadku dlatego, że Waszyngton — jak pisze agencja AFP — „nie chce rokować inaczej niż pod warunkiem kapitulacji Ho Chi-Minha bezpośredniej lub pośredniej", w drugim — ponieważ wysiłki specjalnego wysłannika ONZ niweczy postawa Izraela.

Z braku miejsca nie omawiając dziś szczegółowiej aktualnych wydarzeń na obu tych frontach — odnotujmy tylko: oświadczenie U Thanta w siedzibie ONZ z 24 lutego, a zwłaszcza jego słowa: „sprawa Wietnamu to problem czysto polityczny, który nie może być rozwiązany przez użycie siły zbrojnej" oraz oficjalną zapowiedź spotkania w Nowej Zelandii 7 krajów, które biorą udział w wojnie wietnamskiej. Prócz USA i reżimu sajgońskiego, są to: południowa Korea, Australia, N. Zelandia, Syjam i Filipiny. Temat narady nie został ujawniony. Z pewnością jednak nie chodzi o pokojowe rokowania.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ **Lotnictwo amerykańskie po raz pierwszy bombardowało radiostację w Hanoi. Mimo to radiostacja nadal działa. Atak piratów amerykańskich na radiostację wskazuje na dalszą eskalację działań wojennych.**

■ Czechosłowacki dziennik „Prace" zamieścił artykuł pt. „Co to są przyjaciele ludu", w którym autor zajmuje się sprawą rehabilitacji osób pokrzywdzonych w okresie kultu jednostki, wysuwając tezę, że ci, którzy są odpowiedzialni za metody pracy w owym czasie, nie mogą być przyjaciółmi ludu.

■ Oficjalne koła amerykańskie ujawniły, że po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny wietnamskiej partyzanci użyli 107-milimetrowych rakiet produkcji chińskiej.

■ **Dziennik „Prawda" w artykule pt. „Imperializm — wrogiem pokoju i postępu" stwierdza: „Obecnie ideologiczni giermkowie imperializmu wyłażą ze skóry w daremnych próbach wzięcia odwetu za swą klęskę w bitwie idei. Ponad sto rozgłośni „Głosu Ameryki" zatruwa eter złośliwymi kłamstwami i oszczerstwami antykomunistycznymi. W ogromnych nakładach wydaje się paszkwile usiłujące oczernić życie w krajach socjalistycznych i bohaterską walkę komunistów. Waszyngtońscy obskuranci stoczyli się tak nisko, że w stolicy USA urządzają w tych dniach śmiechu warty „sąd nad międzynarodowym komunizmem".**

■ **Zdaniem obserwatorów amerykańskich, istnieje prawie pewność, że partyzanci południowowietnamscy rozpoczną nową akcję ofensywną. Nie wiadomo tylko — zdaniem tych kół — czy atak skierowany będzie równocześnie na pozycje amerykańskie na północy Wietnamu południowego i przeciwko Sajgonowi.**

■ Komunistyczna Partia Japonii sformułowała powody, dla których nie weźmie udziału w konsultatywnym spotkaniu partii komunistycznych i robotniczych w Budapeszcie. Zdaniem KPJ „czas nie dojrzał jeszcze do zwołania międzynarodowej konferencji partii komunistycznych".

■ **Czołowy dziennik egipski „Al Ahram" stwierdza, że szef misji mediacyjnej ONZ — Gunnar Jarring, „porusza się w błędnym kole". Dziennik twierdzi, że ZRA uczyniła wszystko, co w jej mocy, aby dopomóc Jarringowi, jednakże „paraliż" jego misji wynika ze stanowiska izraelskiego. Publicysta egipski obciąża za ten stan rzeczy odpowiedzialnością Stany Zjednoczone.**

■ Zdaniem „Neue Zürcher Zeitung" rewolucja kulturalna w Chinach nie miała „tak katastrofalnego wpływu na chińską gospodarkę, jak to wielu obserwatorów sądzi". Chiny są koniec końców — kontynuuje pismo — państwem agrarnym i punkt ciężkości spoczywa w dalszym ciągu na produkcji rolnej. Kampania rewolucyjna natomiast prowadzona była w zasadzie z dala od terenów wiejskich.

Im dalej, tym głębiej.
(Washington Post)

■ Siły zbrojne Wielkiej Brytanii liczą obecnie ogółem 436.300 żołnierzy, zaś w ciągu najbliższego roku zostaną zredukowane o 11 tysięcy. Na Wyspach Brytyjskich stacjonuje obecnie 255.400 żołnierzy, w Europie zachodniej — 63.700, na wybrzeżach Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie — 18.500, na Środkowym i Dalekim Wschodzie — 56.400 oraz w innych częściach świata — 42.000.

■ **W wywiadzie radiowym czechosłowacki profesor O. Szik oświadczył, iż przeszkodą w konsekwentnym wprowadzaniu do czechosłowackiej gospodarki narodowej nowych zasad zarządzania i planowania były przede wszystkim względy o charakterze politycznym, wiążące się z sytuacją w KPCz. W najwyższych organach partyjnych i państwowych — mówił Szik — grupa ludzi utrudniała wykrycie istoty poważnych niedociągnięć w ekonomice czechosłowackiej. Wielu towarzyszy zdawało sobie sprawę, że w rzeczywistości działalność organów partyjnych staje się sprzeczna z zasadami, według których powinna działać partia komunistyczna. Niektórzy towarzysze zajmowali wysokie stanowiska, lecz w pracy posługiwali się starymi, skostniałymi metodami. Obecnie chodzi o wyeliminowanie tych niewłaściwych metod pracy, o to, aby nie podporządkowywać się ślepo wyższemu autorytetowi, aby zbudować dyscyplinę wynikającą z przekonania, będącą rezultatem aktywnej demokratycznej dyskusji.**

■ W kołach politycznych Waszyngtonu twierdzi się, że Pentagon rozważa obecnie możliwość powołania pod broń 40 tysięcy rezerwistów, którzy mieliby zastąpić wojska w służbie czynnej, jakie zostaną niedługo wysłane do Wietnamu. Wielu kongresmenów sądzi, iż prezydent wkrótce ogłosi decyzję podniesienia pułapu wojsk amerykańskich w Wietnamie ponad dotychczasowy — 525 tysięcy żołnierzy.

■ Rada ministrów Republiki Bułgarskiej wydała zarządzenie o utworzeniu przy bułgarskiej Akademii Nauk — Instytutu Socjologii. Ostatnio obserwuje się w Bułgarii wzrost zainteresowań badaniami socjologicznymi.

■ Prezydent Johnson skierował do Kongresu orędzie dotyczące tzw. „kryzysu urbanistyki". Ujawniono, że blisko 29 milionów obywateli amerykańskich żyje nadal w warunkach ubóstwa.

■ **Pierwszy sekretarz KC KP Ukrainy — Piotr Szelest w swym wystąpieniu na obwodowej konferencji partyjnej oświadczył: „Partia Komunistyczna i naród chlubią się twórczymi osiągnięciami pisarzy, artystów, kompozytorów, pracowników teatru i filmu. Oczekują oni od inteligencji twórczej nowych utworów — poematów, wierszy, powieści, nowel, oper, baletów, pieśni, obrazów, spektakli teatralnych i filmów opiewających bohaterską walkę i pracę społeczeństwa radzieckiego, godnych epoki budowy komunizmu".**

■ Były szef CIA — Allen Dulles oświadczył w wywiadzie telewizyjnym, że Stany Zjednoczone nie powinny podejmować żadnych kroków wojskowych w celu uwolnienia załogi „Pueblo", ponieważ „na ogół nie zakłada się, że jeśli agentowi wywiadu nie powiedzie się jego misja, to należy wydobyć go z kłopotów przy użyciu siły wojskowej". Zapytany, czy jego zdaniem członkowie załogi „Pueblo" zostaną obecnie rzuceni na „łaskę losu", Dulles odpowiedział: „Obawiam się, że jest to nieodłącznie związane z tym businessem".

■ **Radziecki miesięcznik „Mirowaja Ekonomika i Mieżdunarodnyje Otnoszenija" konstatuje zmniejszający się udział w obrotach handlu zagranicznego ChRL, krajów socjalistycznych. Przenosząc rozbieżności ideologiczne między partiami na stosunki międzypaństwowe — pisze pismo — grupa Mao Tse-tunga zaczęła likwidować stosunki ekonomiczne z krajami socjalistycznymi, zwłaszcza z członkami RWPG. Jednostronnie wypowiedziała ona wiele długoterminowych porozumień i umów ekonomicznych z bratnimi krajami. Kierownictwo ChRL ostro zaatakowało sam charakter współpracy ekonomicznej między krajami socjalistycznymi, międzynarodowy socjalistyczny podział pracy i Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.**

■ Między Białym Domem a agencją wywiadowczą CIA pojawiło się ostre napięcie na skutek pesymistycznych ocen sytuacji w Wietnamie przekazywanych przez tę agencję. Pesymizm CIA oparty jest na fakcie, że „komuniści mają znacznie większe wpływy i siły w południowym Wietnamie, niż przypuszczała administracja w momencie, gdy przed trzema laty zdecydowała się na zaangażowanie wojsk amerykańskich w tym kraju" — informuje „Chicago Daily News".

■ **Ministerstwo szkolnictwa Rumuńskiej Republiki Ludowej podało do publicznej wiadomości założenia nowego ustroju szkolnictwa rumuńskiego. Podstawowym elementem projektu jest wprowadzenie obowiązkowego, powszechnego 10-klasowego wykształcenia tak w mieście jak i na wsi.**

■ Agencja „Tanjug" donosi z Algieru: „W oficjalnych kołach Algierii dopuszcza się obecnie możliwość zwolnienia Czombego".

■ Dnia 21 lutego po raz ostatni wyruszyło na ulice Hawany 50 stołecznych sprzedawców i doręczycieli dziennika „Granma". Rozprowadzeniem „Granmy" zająć się mają uliczne komitety obrony rewolucji.

■ W roku 1967 stopa przyrostu naturalnego w Stanach Zjednoczonych była najniższa w historii tego kraju. Biuro demograficzne przewiduje, że tendencja spadkowa będzie się nadal utrzymywać. Biuro zaznacza, że rozpowszechnianie środków antykoncepcyjnych jest tylko częściową i niejako wtórną przyczyną tej tendencji. Głównym powodem jest rosnąca świadomość, że w warunkach silnej konkurencji zawodowej, istniejącej w wysoce uprzemysłowionym społeczeństwie, konieczne jest zapewnienie dzieciom odpowiedniego wykształcenia, co w rodzinach wielodzietnych staje się rzeczą niemożliwą.

Komunistyczna Partia Niemiec (KPD) żyje.
(Neues Deutschland)

LISTY DO REDAKCJI

Miejskie Zakłady Komunikacyjne
W m. st. Warszawie,
ul. Senatorska 37

„ODGŁOSY"
ŁÓDŹ,
UL. PIOTRKOWSKA 96

W związku z felietonem pt. „Co krok to kultura" zamieszczonym w 47 numerze „Odgłosów" z dnia 26. XI. 67 r. uprzejmie wyjaśniamy, że nie możemy podzielić opinii autora. Naszym zdaniem tego rodzaju felieton mógł się ukazać w wyniku niedokładnej znajomości zagadnienia. Karty konkursowe udostępnione w naszych środkach lokomocji mają na celu umożliwienie pasażerom wzięcia udziału w trwającym konkursie na „najlepszego kierowcę, motorniczego i konduktora" zorganizowanym wspólnie z Redakcją „Expressu Wieczornego". Przysyłane przez pasażerów, karty konkursowe, zawierające uwagi lub propozycje, są wnikliwie rozpatrywane przez dyrekcję MZK i posłużą do dalszej poprawy komunikacji warszawskiej, gdyż słuszne propozycje są lub w miarę możliwości, będą realizowane. Ogłoszony konkurs ma ponadto na celu podniesienie poziomu obsługi pasażerów przez naszych pracowników i odwrotnie — przyczyni się do lepszego poszanowania pracy naszej służby ruchu przez samych pasażerów.

Komunikacja miejska jest jednym z problemów, którym władze miejskie poświęcają najwięcej uwagi. Osiągnięcie poprawy jej funkcjonowania, podniesienie poziomu obsługi pasażerów, jest przedmiotem zainteresowania wszystkich mieszkańców Warszawy, władz miejskich, szczególnie zaś dyrekcji MZK — bezpośrednio odpowiedzialnej za wyniki podejmowanych w tym celu inicjatyw. Jesteśmy przekonani, że przedstawione założenia konkursu uzasadniają jego zorganizowanie.

DYREKTOR EKSPLOATACJI

(—) JAN SCHULZ

SZANOWNA REDAKCJO!

W nr 3 z dnia 21.I.68 r. „Odgłosów" p. Teodor Sujczyński poddaje myśl budowy pomnika Rajmunda Rembielińskiego. Popieram tę myśl i w tej formie dołączam swój głos do głosu T. Sujczyńskiego. Jeśli obecnie usiłujemy odszukać i pokazać maszyny, które uruchomione były w początkowym stadium rozwoju Łodzi — wielkiego miasta przemysłowego, to nie powinniśmy zapominać o ludziach, którzy swoją działalnością wywarli niemały, dodatni wpływ na kształtowanie oblicza tego miasta.

Z poważaniem

STANISŁAW PEŁKA

Łódź, Ossowskiego 4, m. 32

WOJCIECH WÓJTOWICZ

O Juwenaliach nigdy nie za wcześnie

Ładnych parę miesięcy minęło od radosnego święta łódzkiej braci studenckiej, a na dźwięk słowa „Juwenalia" włos się jeży na zacnych głowach ojców miasta. Dają się słyszeć głosy domagające się zniesienia tego przywileju, bo przecież w Juwenaliach nie o samo tylko gorszenie mieszczan chodzi. A choćby te ostatnie: Tłum kolorowo ubranej młodzieży przedefilował ulicą Piotrkowską, wzniesiono kilka antystołówkowych okrzyków, było parę dowcipnych haseł i jeden dobry dowcip, kiedy to wśród zawodzeń i szlochów studenci Wydziału Budownictwa Politechniki Łódzkiej nieśli trumnę z napisem „M-1". Wieczorem odbywały się zabawy w klubach, ktoś ufundował studentom beczkę piwa, a sklepy monopolowe przeżywały okres niebywałej prosperity. Co do reszty, to może rzeczywiście lepiej zbyć ją milczeniem.

Można było odnieść wrażenie, że łódzkie Juwenalia odbywały się pod hasłem — „Wszystko co studenckie jest nam obce". Wątpliwe, żeby taki profil tej imprezy był słuszny, nie takie chyba były zamierzenia organizatorów. Istnieje wiele przykładów dobrej organizacji tego święta. Krakowscy studenci obchodzą je przez tydzień i jest ono okazją do zademonstrowania osiągnięć środowiska. Teatry, prasa, domy kultury, estrady opanowane są przez studentów i stają się miejscem przedstawienia dorobku kulturalnego środowiska akademickiego. Uczelnie prześcigają się w pomysłach i dowcipach, szereg imprez pomyślanych jest jako forma współzawodnictwa, wszystkie te zabiegi mają na celu pokazanie studentów od jak najlepszej strony. Juwenalia odbywają się we wszystkich ośrodkach akademickich Polski. Każde miasto nawiązuje w nich do własnej tradycji historycznej, a korowód utrzymany w stylu widowiska historycznego podkreśla te więzy. Łódź tylko, dziwnie sztucznie te rzeczy organizuje. Trochę śmiesznie wyglądają średniowieczne stroje na bruku układanym rękami naszych dziadków, ale skoro organizatorom brak koncepcji, to lepsze stroje historyczne niż „kominiarze" czy „Cyganki". Juwenalia są wizytówką studentów. Łódzcy studenci źle się zaprezentowali.

Trawestując powiedzenie „Jaki piątek taka niedziela" można powiedzieć — jakie życie kulturalne studentów przez cały rok, takie Juwenalia. W Łodzi są cztery wyższe uczelnie, jest centralny klub „77", kilka teatrów studenckich, kluby uczelniane oraz wiele stowarzyszeń skupiających młodzież. Tak więc wydawałoby się, że jest to środowisko czynne. Ale tylko „wydawałoby się". W gruncie rzeczy studenci najlepiej wiedzą jak bardzo brak mu tego co najistotniejsze — atmosfery studenckiej. Większość łódzkich studentów poza uczestniczeniem w zajęciach obowiązkowych, z tzw. życiem studenckim niewiele ma wspólnego. Nie angażuje się w żadne prawie imprezy kulturalne, poza wieczorkami tanecznymi. Instytucje kulturalne działające pod egidą ZSP czy ZMS są miejscem zaspokajania prywatnych dążeń, a nie ośrodkami zainteresowania studentów. Zwyczaj ten, postawa konsumenta, przechodzi również na studentów pierwszych lat. Na ogół poza nielicznie organizowanymi „otrzęsinami" studenci pierwszego roku nie spotykają się z dobrymi obyczajami środowiska akademickiego.

W takim stanie rzeczy Juwenalia stają się fałszywą manifestacją jedności studenckiej, okazją do wyżycia dla ludzi, którym obca jest chęć pozytywnego reprezentowania środowiska, a często znajomość podstawowych zasad kulturalnego zachowania. Nieliczny sztab organizatorów nie może opanować żywiołowości uczestników imprezy.

Jaka jest na to rada? Dobrze byłoby chyba zacząć przygotowania do Juwenaliów o wiele wcześniej niż dotychczas, dokładnie opracować plan imprez, angażując do udziału wszystkie stowarzyszenia i organizacje studenckie. Juwenalia powinny być formą prezentacji dorobku studentów, wypadałoby więc organizować imprezy dla całego środowiska studenckiego w centralnych punktach miasta. Teatry studenckie miałyby okazję pokazania się mieszkańcom całego miasta, chociaż w tym jednym dniu. Większe skupienie imprez pozwoliłoby łodzianom na masowy udział, a studentów zobowiązało do godnej reprezentacji środowiska.

Owocna mogłaby się okazać mała zmiana zwyczaju. Klucze do bram miasta powinny być oddawane w ręce studentów na zakończenie imprezy, jako nagroda za dobre „pokazanie" środowiska, powinny być symbolem zaufania do studentów.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Łódzkie tradycje

(GARŚĆ REFLEKSJI)

Myślę, że zainteresowanie przeszłością to rzecz bardzo ludzka. Ciekawość, jak to było, jest chyba tak jak i ciekawość, jak to będzie, jednym z podstawowych przejawów inteligencji gatunku homo sapiens. Zaspokajanie owej ciekawości rodzi postęp. Świadomość przeszłości, nawet przeszłości złej, koszmarnej pozwala ocenić należycie wartość dnia dzisiejszego, cenę, jaką za niego zapłaciliśmy. Jesteśmy więc ciekawi przeszłości naszych najbliższych: rodziny, przeszłości swojej miejscowości, związków społecznych, w których tkwimy itd. Uświadomienie popełnionych w przeszłości błędów zapobiega ich popełnieniu w przyszłości. A co najmniej — powinno zapobiec. Zainteresowania historią są u nas ponoć szczególnie żywe i powszechne. Wynika to być może z faktu, że los nie szczędził naszemu narodowi tzw. burz dziejowych, które nie pozostawiały w spokoju niemal żadnej rodziny.

Nie chcę jednak artykułu niniejszego poświęcić dysertacjom natury ogólnej, ale raczej sprawie bliżej nas obchodzącej — zainteresowaniom z roku na rok żywszym przeszłością naszego miasta. Niewątpliwie wielokierunkowe badania przeszłości Łodzi i regionu łódzkiego podejmowane przez nasze środowisko naukowe wiedzę o tej przeszłości pogłębiają i poszerzają.

Sądzę, że mamy do czynienia w naszym kraju z jakimś swoistym ruchem społecznym wyrosłym również z potrzeb lokalnego patriotyzmu, którego organizacyjną formą są różnego rodzaju towarzystwa, stowarzyszenia „miłośników", „przyjaciół" miast, regionów, osiedli.

Działające na terenie naszego miasta Towarzystwo Przyjaciół Łodzi jest jednym z ruchliwszych stowarzyszeń tego typu w kraju. Rzecz może się wydawać dziwna, boć miasto nasze nie ma zbyt bogatej historii. W porównaniu nie tylko z Krakowem lub Warszawą, ale nawet z Łęczycą czy Kaliszem. Gdyby tradycje mierzyć tylko jednostkami czasu. Ale historycy wiedzą o tym doskonale, że bywają stulecia zastoju i dziesięciolecia wielkiej dynamiki.

I nie wiem, czy bardziej pasjonujące są dzieje prastarej Wiślicy czy dziecka PRL — Nowej Huty.

Nie chciałbym, żeby poniósł mnie patriotyzm lokalny, ale twierdzę, że z punktu widzenia historii najnowszej nie ma bodaj na kontynencie europejskim ciekawszego miasta niż Łódź. Jeżeli pominąć jej feudalną przeszłość od w. XIV do początków XIX, to przecież w tej niewiele ponad 100 lat liczącej „karierze" zawarta jest cała historia rozwoju kapitalizmu w Polsce i budownictwa socjalistycznego. Historia ta jest w sposób dotykalny wypisana choćby na ulicy Piotrkowskiej: od wczesnokapitalistycznych, okres manufaktur pamiętających domków tkaczy, poprzez wielkokapitalistyczne zakłady Geyera, Steinerta czy Johna z okresu „Złego Miasta", potężny koncern, Scheiblera-Grohmana — władców Ziemi Obiecanej z czasów naszego kapitału monopolistycznego, aż po miasto zwycięskiego proletariatu noszącego zaszczytny (i zobowiązujący) tytuł Budowniczego Polski Ludowej.

Pokażcie mi drugie miasto, w którym można by idąc ulicą odczytywać niesłychany wyzysk i pogardę dla człowieka i jego potrzeb, wyrażającą się w idiotycznej, ciasnej zabudowie bez kanalizacji, wodociągów, zieleni, słońca — obok — dziesiątków pałaców fabrykanckich tonących w parkach pięknie ogrodniczą sztuką urządzonych.

I pokażcie mi drugie miasto, gdzieby klasa robotnicza i powołane przez nią władze przez lat dwadzieścia kilka tyle starania i wysiłku podjęły, by tę nieszczęsną spuściznę, mierząc zamiary na siły, likwidować.

W ślad za tymi zmianami w kształcie miasta, w miarę powstawania dużych, „samoistnych" w pewnym sensie osiedli, sfederowanych z centrum giną wsie podłódzkie, giną byle jakie bieda-domki naszych peryferii, ale również dokonują się nieuchronne zmiany w dziedzinie obyczaju, kultury, stylu życia, nawet — języka. Trzeba te sprawy „ocalić od zapomnienia", żebyśmy pamiętali, jak było, a pokolenia, które przyjdą po nas, by mogły wiedzieć.

W tym celu warto pomyśleć o jakimś utrwaleniu tradycji lokalnych poszczególnych regionów miasta, które miały jakąś swoją odrębność: Koziny, Ruda Pabianicka, „Dołek", „Widzew", Bałuty, Chojny itp. Istnieją wreszcie wcale bogate tradycje poszczególnych zakładów pracy, stowarzyszeń, związków, rzemiosła. W ten sposób do szczytnej naszej tradycji walk klasy robotniczej przydalibyśmy tradycje życia całego miasta, jego mieszkańców, dość bogaty i zróżnicowany obraz niejakiego folkloru łódzkiego.

Ktoś, kiedyś dowcipnie i mądrze taką dał definicję przeszłości: Jest to Dziś, tylko... trochę później. Każdy z nas co dnia jest współtwórcą tradycji: swojej rodziny, swojego środowiska, osiedla, w którym mieszka, miasta. Więc kraju — również. To nie są sprawy błahe. W pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy byliśmy zaabsorbowani odbudową kraju ze zniszczeń, kładzeniem podwalin nowego ustroju, sprawa przekazywania tradycji, znajomość przeszłości zeszła na plan dalszy. Skutek był taki, że jak się wyraził pewien historyk oświaty, (być może z pewną przesadą) łatwiej nam odtworzyć stan szkolnictwa w Polsce za czasów Bol. Krzywoustego niż w pierwszym dziesięcioleciu PRL.

Jeżeli Towarzystwo Przyjaciół Łodzi inicjuje i popiera społeczne działanie na rzecz utrwalenia wiedzy o przeszłości miasta, to nie tyle przecież, by te tradycje kultywować, ile w przeświadczeniu głębokim, że owa wiedza umacnia więź serdeczną z miastem i pomaga we właściwym rozumieniu wielkości przebytej drogi. Obawiam się, że wyrosło już w Polsce Ludowej całe pokolenie, w którym ta świadomość jest wątpliwa. Młody ojciec lub matka odprowadzający swoje dziecko do przedszkola, powiedzmy, w parku Hübnera, nie wie, że to przedszkole mieści się w pałacyku, będącym niegdyś własnością fabrykanta Leonhardta i w tegoż fabrykanta parku, który ogrodzony był wysokim płotem. Przeciętne dziecko łódzkie tylko przez szparę pomiędzy deskami lub przez dziurę w desce po wybitym sęku mogło na ten park popatrzeć.

Dopiero ostatni premier rządu II Rzplitej polecił zlikwidować parkany i zastąpić je płotami z siatki drucianej. I odtąd można było już... popatrzeć.

Ale do środka wprowadziła dziecko łódzkie dopiero Polska Ludowa. Gdyby nie ta „drobna" zmiana w historii kraju, do dziś mogłoby tylko — popatrzeć.

O tym warto pamiętać!

Fot. A. Solarz

Nożycami przez PRASĘ

PRZEMYSŁ LEKKI

Ponieważ Łódź odgrywa wielką rolę w tej właśnie dziedzinie, wypada przytoczyć kilka uwag natury ogólnej z komentarza „Życia Gospodarczego" na temat nowoczesnego przemysłu lekkiego.

Powiedzmy od razu, że nie są to uwagi zbyt optymistyczne.

Autor komentarza na wstępie stwierdza:

Sytuacja, jaka wytworzyła się po dwóch latach bieżącego pięciolecia w gospodarce kraju, wzmogła, co zrozumiałe, nacisk handlu wewnętrznego i zagranicznego na przemysł lekki. Przybierają na sile postulaty zgłaszane pod adresem tego przemysłu o przyśpieszenie dynamiki rozwoju i położenie silniejszego akcentu na unowocześnienie struktury produkcji.

Przemysł stara się dostosować do sytuacji, ale jego możliwości ograniczają z jednej strony bariera surowcowa, przezwyciężana dzięki rozwojowi krajowej chemii, z drugiej zaś technika, wymagająca modernizacji struktura produkcji. Ta bariera, niestety, wzmacnia się w wynku opóźnień inwestycji.

Komentarz zawiera kilka propozycji doraźno-przystosowawczych. Pierwsza z nich:

Warunkiem prawidłowego manewrowania asortymentami o analogicznym lub podobnym przeznaczeniu jest odejście od praktyki dostosowywania — zwykle z opóźnieniem! — produkcji do zmieniających się potrzeb rynku i zastąpienie jej śmiałymi próbami wyjścia naprzeciw potrzebom rynku, kreowania popytu przy pomocy m. in. mody, aparatu reklamy i dystrybucji. Pomocą w opanowaniu techniki kierowania rynkiem, w istocie chodzi o właściwą politykę rynkową, może być kompleksowe rozwiązywanie problemów produkcyjnych.

Druga:

Nie stać nas na tolerowanie partykularyzmu branżowego w przemyśle lekkim i poza nim, gdyż jest źródłem powstawania napięć na rynku i tworzenia „nadwyżek".

Trzecia:

Nie ma też wątpliwości co do tego, że konieczne jest również szukanie nowych, bardziej elastycznych form organizacji współpracy przemysłu z handlem. Podporządkowana jest ona obecnie zasadzie pełnego wykorzystania potencjału wytwórczego do produkcji określonej na wiele miesięcy z góry w szczegółowym asortymencie, rozmiarach, wzorach, deseniach, fasonach, kolorach... Ścisłe przestrzeganie tego rodzaju zasad jest chyba anachronizmem.

W konkluzji komentator stwierdza kategorycznie:

Ale jest również pewne, że naszych dylematów rynkowych nie można rozwiązać do końca rzy pomocy tylko lepszego dysponowania środkami, jakie otrzymuje przemysł. Radykalną i trwałą poprawę na rynku artykułów włókienniczych i skórzanych, a tym samym poprawę sytuacji ogólno-gospodarczej, może przynieść tylko wydatne zwiększenie potencjału wytwórczego, przy podjęciu jednocześnie poważnego wysiłku na rzecz zasadniczego przeobrażenia struktury produkcji.

TRZEŹWIEJEMY?

Niestety, nie dotyczy ta optymistyczna prognoza spożycia alkoholu. Tym razem chodzi o sztukę. Przez wiele lat słowo „secesja" było synonimem złego smaku, artystycznego wstecznictwa.

I oto, m. in. dzięki pracy prof. Wallisa, secesja doczekała się pełnej rehabilitacji. W naszym mieście odkrywa ją na nowo, posługując się precyzyjnym piórkiem, Wacław Kondek.

Na tle tej rehabilitacji snuje swoje rozważania Olgierd Terlecki w „Życiu Literackim". Co się stało? Właściwie nic nadzwyczajnego.

Przeżyliśmy wszelkie możliwe fazy rozwoju sztuki i doszliśmy do punktu, w którym wykorzystując pewnego rodzaju znużenie, przesyt bogactwem form i groteskową, symptomatyczną dla czasów nadnormalnego przyśpieszenia pogoń za nowościami, tabuny pospolitych oszustów rzuciły się na sztukę. Przez pewien czas oszuści udawali artystów, i z coraz większym powodzeniem; zapewniała je, z właściwą sobie usłużnością, tak zwana odkrywcza krytyka. Aż teraz, w rezultacie, prawdziwi artyści zaczynają udawać oszustów.

Terlecki, jak przystało felietoniście, nie szczędzi przytyczków.

Tak zwana odkrywcza krytyka w lot podchwyciła, że na szlakach dotychczasowych niczego już odkryć nie można i że nawet najzawziętszych snobów nie da się już popychać w tamtym kierunku. Stąd zdumiewające nawrócenia i oczywiście nowe odkrycia. Odkrycia punktów, dawno utwierdzonych na obwodzie koła.

Czyli, co nie jest tajemnicą, różni nasi krytycy, a dotyczy to wielu dziedzin twórczości artystycznej, mają słabe głowy, nie lubią samodzielnego myślenia, są po prostu snobami. Im wszystkim kłania się Karol Irzykowski z lat przedwojennych, autor rozważań o plagiatowym charakterze różnych przełomów w naszej literaturze. A rozważania te z łatwością można uogólnić. Korzystając z okazji, przytoczmy jedną z myśli krytyka.

Do „chaosu stawania się" nalezy się tylko przez to, że się temu chaosowi przeciwstawia, a nie przez to, że się chaos naśladuje.

ECHA OLIMPIADY

Choć to właściwie inne rewiry, przecież nie mogę przemilczeć. Dwukrotnie słyszałem, jak sprawozdawca sportowy z Grenoble zachłystywał się naszym sukcesem olimpijskim: wyróżnieniem czy też pochwałą za dobrą prezencję zawodników.

Jak gdyby Grenoble było imprezą, podobną do tych, jakie urządza np. „Telimena"!

50 ROCZNICA URODZIN

Nie wiem, jak to się stało, ale dopiero z „Życia Literackiego" dowiedziałem się o pięćdziesięcioleciu Jana Koprowskiego. Nie tyle zresztą o pięć dziesięcioleciu, co o tym, że je upamiętniono.

Literaci łódzcy obchodzili 50-lecie urodzin poety, eseisty i powieściopisarza, członka Zarządu Głównego ZLP — JANA KOPROWSKIEGO. Jan Koprowski ma w swym dorobku literackim kilka powieści, dwa tomy opowiadań, trzy tomy szkiców i esejów, dwa zbiory poezji. W br. ukaże się drukiem jego wybór wierszy „W tym kraju" i „Studnia przeszłości", powieść „Dom na wzgórzu" oraz tom nowel „Teraz i zawsze".

Tedy z opóźnieniem, ale bez jakiegokolwiek ociągania się, dołączamy gratulacje i najlepsze życzenia w imieniu tych wszystkich, którzy, jak niżej podpisany, mieszkają w cichym i miłym Głownie.

JAN OLECHNO

Fot. A. Wach

Przedstawiamy naszym Czytelnikom w niniejszym numerze fotogramy łódzkich fotografików, wystawiane niedawno w Klubie Dziennikarza. Na okładce raz jeszcze prezentujemy pracę Eugeniusza Kudaja — którą odnaleźliśmy w katalogu Międzynarodowej Wystawy zorganizowanej w Hadze pod nazwą WORLD PRESS PHOTO 67. Jest to w tym katalogu bodajże jedyna praca polskiego autora. Szczerze gratulujemy.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Przystąpiłam do tego tematu uzbrojona w doświadczenia wędrówki po łódzkich sklepach meblarskich. Muszę przyznać, że największe wrażenie zrobił na mnie ten przy Piotrkowskiej 11. Długa, źle oświetlona kiszka, wzdłuż ścian stoją meble. Jedne obok drugich, jak się zmieści. Jedne w całości, inne w kawałkach. W pierwszym rzędzie, wzdłuż przejścia, szereg dnie zemdleć z wrażenia. Ale nie, lepiej nie ryzykować. Na każdej z kanap kartonik z dobrze czytelnym napisem: Towar Zdyskwalifikowany.

Pracowicie przemierzyłam trzy kondygnacje Domusa, naszego reprezentacyjnego domu meblowego. Wybudowany został w pewnym sensie przez pomyłkę, bo potrzebniejsze były w Łodzi magazyny, a nie sklep, albo przynajmniej sklep z magazynami. Tymczasem uzyskano fundusze na sklep, ale bez zaplecza magazynowego. Lekkomyślnie przeniesiono tu również meble kuchenne. Nie było zaplecza magazynowego i towarowego, sprzedawcy przejęci hasłem: frontem do klienta sprzedali więcej niż było do sprzedania, zrobiło się zamieszanie. To dziś już historia, wszystko jakoś się utarło, meble kuchenne wróciły na dawne miejsce, a przyszłość jest optymistyczna, bo Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Meblami buduje na Żabieńcu magazyny (wyłącznie dla Domusa) dwukrotnie większe od istniejących przy ul. Brukowej. Czym się je zapełni? O zaplecze towarowe w tej dziedzinie znacznie trudniej. Ale zostawmy przeszłość i przyszłość, zajmijmy się teraźniejszością.

Trzy kondygnacje Domusa wypełnione są po brzegi meblami. Sprawia to wrażenie zaspokojenia potrzeb, ba dostatku. Na parterze zestawy kombinowane, na pierwszym piętrze import meblowy, na drugim — komplety krajowe, propozycje jak umeblować małe mieszkania. Może zresztą pomyliłam kolejność, ale to nie ma znaczenia. Na parterze również przewidziany dział „mebli problemowych", raczej problematyczny niż problemowy.

1.

Od dwóch lat szukam tapczanu. Wymagania mam niewielkie. Może być zielony, czerwony lub niebieski. Byle miał pojemnik na pościel, lekko się otwierał i zajmował możliwie jak najmniej miejsca. Skrycie marzę też o tym, by nie był zanadto twardy. Szukam od dwóch lat i nie mogę znaleźć. Choć na rynku pełno jest tapczanów, leżanek, wersalek. W tłumie paskudztwa o tandetnym obiciu, niechlujnej tapicerce, pofalowanej powierzchni, twardej jak klepisko, trafia się czasem coś ciekawszego. O, na przykład ten tapczanik. Ładny i dość miękki. Ale za to do otwierania trzeba mieć w domu atletę. Tamta wersalka też ładna, otwiera się lekko, ale za to w pojemniku na pościel z trudem zmieści się pled. Więc może łóżko? Łóżka podobno wchodzą ostatnio w modę, pewno dlatego, że narasta wyż demograficzny starszych, którzy jeszcze pamiętają, że nie ma jak dobre łóżko na sprężynach. Nawet jest coś estetycznego, ale pod materacem z moltoprenu nie sprężyny, nie, jednolita twarda deska. A jak się moltopren ugniecie? Zapewniają mnie, że nie. Wolę, by wypróbował ktoś inny.

2.

Rosną nowe dzielnice, rosną nowe bloki. Każdy nowy blok to dziesiątki klientów Domusa i innych sklepów z meblami. Szukają mebli małych, funkcjonalnych, przystosowanych do izb z literą „M" i doczepioną do niej cyferką. Właściciele nowych mieszkań najlepiej wiedzą, ile trudu i czasu kosztuje skompletowanie umeblowania. **Produkcja przemysłu meblarskiego rośnie stale, ale jest ciągle nie wystarczająca ani jakościowo ani ilościowo.** Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Meblami, noszące w żargonie handlowym wdzięczną i skromną nazwę „detalu wiodącego", jest monopolistą w dziedzinie handlu meblami. W 1955 roku obroty tego przedsiębiorstwa wyniosły 127 milionów zł., 1960 r. — 260 milionów, w 1967 r. — 390 milionów, **a na rok bieżący przewiduje się obroty w wysokości 450 milionów złotych.** Nie wiem czy to dużo czy mało, ale jeśli nawet dużo, to i tak za mało. Za mało mebli takich jakich żądają klienci. Za mało mebli wysokiej jakości, estetycznych, za dużo, wciąż jeszcze za dużo niedbale wykonanych, niefunkcjonalnych w naszych warunkach.

3.

A właściwie to kto meblуje — poprzez Detal Wiodący — nasze mieszkania? W 50 procentach zaopatrywani jesteśmy przez przemysł kluczowy, wielkie zmechanizowane fabryki państwowe: Łódzką Fabrykę Mebli, zakłady w Wyszkowie, Goleniowie, Wolsztynie, Wrocławiu, Poznaniu, Elblągu, Swarzędzu, Słupsku i jeszcze 80 innych. Albowiem z istniejących ponad 100 zakładów przemysłu kluczowego, aż 90 zaopatruje nasze miasto i województwo. Jak na mój gust, stanowczo za dużo. Dyrektor handlowy w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie nie po-

Jak nas widzą tak nas piszą...

Dalszy ciąg ze str. 1

wlazł powtórnie, oświadczając, że jest wiceministrem zdrowia. Lekarz nie zdziwiony tym, że minister tak daleko gnał z Warszawy, żeby tylko dostać się do jakiegoś doktora — zbadał dostojnego pacjenta, który dopiero po wypisaniu mu recepty przyznał się do mistyfikacji. Wypadek ten jest bez precedensu, gdyż na ogół w podobnych sytuacjach skutkują niższe tytuły urzędnicze.

* * *

nr 7/467

Tłumy ludzi przybyły do łódzkiego ZOO, awanturując się następnie i złorzecząc dyrekcji. Powodem wzmożonej ciekawości i wybuchu niezadowolenia była notatka zamieszczona w łódzkim „Expressie", a donosząca, iż do ZOO zakupiono błękitnego mamuta sprowadzonego z Marsa oraz cielę o dwóch głowach i ośmiu nogach urodzone na Wenus. Nieporozumienie spowodował jubileuszowy numer gazety, przedstawiający jak „Express Ilustrowany" będzie wyglądał w r. 2000. Czytelnicy, widać łatwiej skojarzyli sobie błękitnego mamuta z teraźniejszością niż poziom numeru i jakość papieru, na którym się ukazał — z rokiem 2000.

* * *

nr 9/469

„Głos Robotniczy" informuje, że Sąd Wojewódzki w Łodzi wydał historyczne orzeczenie, iż NIE MA TRZECIEJ PŁCI. Stało się to na rozprawie rewizyjnej wobec orzeczenia jednego z sądów powiatowych, który uznał 33-letniego Kazimierza (Kazimierę?) M. za „osobnika bezpłciowego". Kazimierz M. wobec narastania w nim cech żeńskich po poddaniu się operacji zwrócił się do sądu o zmianę płciowego zaksięgowania w aktach stanu cywilnego.

* * *

nr 10/470

Trzej członkowie łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawełna", wstępując do spółdzielni, zgłosili chęć kupienia mieszkań dwuosobowych, ponieważ jako kawalerowie przewidują, że się kiedyś ożenią. Zarząd spółdzielni uzależnił wydanie im kluczy do przydzielonych mieszkań od przedstawienia zaświadczenia z Urzędu Stanu Cywilnego, że śluby już zostały zawarte. Ponieważ przepisy nakazują objęcie przydzielonego mieszkania w bardzo krótkim czasie, „od groźbą jego utraty — zainteresowani dokonują ponoć cudów, żeby natychmiast znaleźć kandydatki na żony, jako że w Polsce łatwiej jest o rozwód, niż o mieszkanie.

* * *

Handlarze psów na Bałuckim Rynku w Łodzi reklamują swój towar jako chorujący na wściekliznę. Wściekłe psy cieszą się większym popytem niż zwykłe kundle, są bowiem dolegliwszym instrumentem represji przeciwko złodziejom kur.

* * *

nr 11/471

Futbolista Sadek z Łodzi uzyskał dobrą ocenę na międzynarodowym, sportowym rynku żywym towarem. Angielski klub sportowy Everton dawał za niego 100 tys. funtów szterlingów. Transakcja nie doszła do skutku, zapewne ze względów zasadniczych, ale miło pomyśleć, że mamy rodaków równowartych trzystu samochodom osobowym.

* * *

nr 13/473

Przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi otrzymał zaproszenie na zjazd sołtysów. Ów dyshonor spotkał go z winy poczty. W Wielkopolsce koło Straszewa jest wieś Łódź, której mieszkańcy już przywykli, że listy do nich dochodzą z trzytygodniowym opóźnieniem po przeadresowaniu ich przez nie znajdującą nadawców pocztę m. Łodzi. Ojciec Łodzi o straty moralne skarżył nie będzie.

* * *

nr 15/475

W dniu św. Józefa łódzka MO urządziła akcję pod kryptonimem „Trzeźwy Józef". Stu kilkudziesięciu milicjantów i ich społecznych współpracowników zatrzymywało auta, szukając kierowców — Józefów, a to dla złożenia im życzeń i powąchania jak pachnie „serdecznie dziękuję" solenizantów. Ostatnio modne staje się łączenie uprzejmego z dolegliwym.

* * *

nr 17/477

Ulicami Łodzi, środkiem jezdni, przeszedł pochód bażantów. Dogłębne badania pozwoliły ustalić, że nie była to demonstracja, tylko marsz na wyprawę złodziejską. Bażanty przybywają do Łodzi z okolicznych pól, dokonują napadów na ZOO i wyżerają pokarm ptakom — lokatorom ZOO.

* * *

nr 21/481

W czasie wywiadówki w jednej z łódzkich szkół ojciec ucznia, usłyszawszy, że jego synowi zagraża nieświetna ocena z pewnego przedmiotu zareplikował propozycją: „Czy pan profesor nie pozwoliłby się zaprosić na letnią wycieczkę samochodową na Węgry?".

* * *

nr 24/484

Pani kierowniczka z Zakładu Fryzjerskiego nr 21 w Pabianicach kazała osobie z personelu wpierw uczesać panią, która przyszła później, a później panią, która przyszła wcześniej. Pani, która przyszła wcześniej żywo zaprotestowała. Kierowniczka rzekła na to, że postępuje praworządnie, ponieważ istnieje tajne zarządzenie dla fryzjerów damskich, nakazujące obsługiwanie w pierwszej kolejności działaczek polityczno-społecznych, których głowy wymagają przecie szczególnej pielęgnacji. „Głos Robotniczy" komentując sprawę pisze, że w naszej demokracji takie zarządzenie nie może istnieć, ale jeśli istnieje winno być wywieszone na widocznym miejscu.

* * *

nr 31/491

Sąd w Łodzi skazał przewodniczącego rady zakładowej Opery Łódzkiej i czterech członków rady na kary bezwzględnego (tj. do odsiedzenia) aresztu i grzywnę za zniesławienie jednej z chórzystek. Sąd uznał, że rada zakładowa dokonała zniesławienia twierdząc, jakoby chórzystka miała zły głos i aparycję. Sprawozdawca sądowy zaniedbał donieść, czy poszkodowana trzasnęła na sali sądowej arię.

* * *

nr 32/492

Po raz pierwszy w dziejach nie straż pojechała do pożaru, ale pożar do straży. To w Łodzi płonący tramwaj nr 3 ze swadą zajechał pod siedzibę strażaków.

* * *

nr 34/494

Do Sądu Powiatowego m. Łodzi wpłynął pozew od pana, który domaga się zwrotu kosztów podróży jego żony do Bułgarii. Pan ów wywodzi, że wycieczka skończyła się wbrew prospektom biura o dwa dni wcześniej. To niedotrzymanie warunków umowy sprawiło, że żona owego pana złapała tego pana in flagranti z inną, po czym zażądała rozwodu. Powód dowodzi, że nie po to wydał kilka tysięcy złotych i że skoro stracił żonę nie powinien przynajmniej tracić pieniędzy wydanych na chwilowe oddalenie jej od siebie.

piera moich zastrzeżeń. Ale przecież stąd chyba właśnie wywodzi się ów melanż w sklepach meblarskich: każdy mebel w innym kolorze, czy odcieniu, innej politurze, innym wykończeniu. Domus na swojej ekspozycji proponuje klientom jak można te meble zestawiać w całość. Ale klient nie chce mieć każdego mebla z innej parafii, **chce mieć komplet.** Z tej liczby fabryk wynika, że każda z nich dostarcza do Łodzi minimalne ilości ze swej produkcji. Taka na przykład Łódzka Fabryka Mebli mieszcząca się na naszym terenie. Jej udział w obrotach łódzkiego WPHM wynosi niecałe pięć procent. Paradoksalne? Łódzka Fabryka Mebli sprawuje patronat nad jednym z pawilonów meblowych, który pracuje pod wręcz rewelacyjnym hasłem: „Każdy klient wychodzi z naszego sklepu zadowolony". Do tego pawilonu fabryka kieruje wszystkie nadwyżki produkcyjne, do tego pawilonu kieruje nowości i zmienniki asortymentowe. **Pięknie, tylko, że ten sklep znajduje się w... Warszawie. A w Łodzi nie uświadczysz mebli fabryki łódzkiej, nawet na ekspozycji Domusa, nawet żeby zobaczyć jak wyglądają. Te meble rozkupywane są niemal w drodze do sklepów. Łódzka fabryka jest jedną z najlepszych w kraju.** W dodatku od pięciu lat produkuje tzw. „meble Kowalskich", które przyjęły nazwę od nazwiska projektantów. Są to meble nowoczesne, przeznaczone do małych mieszkań, składają się z elementów, które klient montuje sam w domu, zależnie od rozkładu mieszkania.

Łódzka Fabryka Mebli, jedna z największych w kraju, jedna z najlepszych w kraju, produkująca również na eksport, znana z wysokiej jakości produkcji — jest w Łodzi nieznana. Chętnie byśmy zakupili całą produkcję tej fabryki — mówi dyrektor WPHM — ale rozdzielnictwo jest centralne i nie mamy tu nic do powiedzenia.

Czy aby na pewno?

4.

Drugą połowę meblowego towaru stanowi produkcja zakładów przemysłu terenowego i spółdzielczości, w sumie 23 jednostki z Łodzi i województwa. To jest właśnie to najgorsze. Te zakłady, mimo mechanizacji, pracują systemem rzemieślniczym, często niedoinwestowane, w złych warunkach lokalowych, na starych maszynach. Nie dotrzymują terminów jak łódzki „Tapicer i Dekorator", nie mogą się wygrzebać z trudności mimo dobrych warunków, jak spółdzielnia im. Waryńskiego w Łodzi, czy im. Dzierżyńskiego w Piotrkowie. Przemysł terenowy nie nadąża za kluczowym. Brak własnej dokumentacji technicznej, brak laboratoriów. **Nowe surowce stosuje się za przemysłem kluczowym, ale bez prób, a czasem w momencie, kiedy przemysł zaprzestaje ich użytkowania.**

A propos. Skąd się bierze to żenujące zjawisko? Po prostu — z systemu kontroli. Dawniej kontrola jakości odbywała się na terenie fabryki. Dziś jakość ocenia się w sklepie, błędnie zakładając, że zakładowi brakarze pracują jak należy. A brakarze widać wychodzą z założenia, że mebli brak, więc i tak ludzie to kupią. Wobec tego handel kształci swych sprzedawców na towaroznawców, żeby fachowo podchodzili do towaru. Sprzedawca jest dobrym brakarzem, styka się bezpośrednio z samym życiem, czyli klientem, a klient jest dociekliwy i wymagający.

Handel odrzuca średnio od 4 do 7 procent dostaw. Następnym szczeblem kontroli jest klient, który braki odkrywa dopiero w użytkowaniu, czasem nawet po roku i więcej. W ubiegłym roku łódzkie WPHM załatwiło około 950 reklamacji. Cena zdyskwalifikowanych mebli jest obniżana o 10—20 proc. Tą obniżką obciąża się producentów. Niezależnie od tego płacą oni kary za jakość. Np. w ubiegłym roku półtora miliona złotych.

5.

Nasz przemysł wciąż jeszcze produkuje meble ciężkie i drogie. Polskie normy techniczne w meblarstwie są, zdaniem fachowców, przestarzałe i nieoszczędne. Na przykład, klient żąda mebli „orzech", przemysł daje oryginalną okleinę orzechową mimo, że drewno to jest surowcem importowanym, drogim. W NRD na przykład dawno już wprowadzono okleinę z drzewa tańszego, krajowego, znakomicie imitującą orzech.

A właściwie jaki jest gust polskiego klienta? I handel i przemysł zgodnie mówią: wysoki połysk! Choć szanujące się fabryki, jak łódzka czy wyszkowska dawno już zlikwidowały u siebie ten wysoki połysk (na eksport robi się również tylko matowe meble), to jednak trzeba szanować gust klienta i szlifować błysk. Takich mebli żądają szczególnie łodzianie i mieszkańcy Śląska. Takich mebli zawsze żądała i dalej żąda wieś.

A cała Polska szuka, i nie może znaleźć **produkowanych stale w zbyt małych ilościach tapczanów, wersalek i amerykanek wysokiej jakości, kompletów stołowych, zestawów segmentowych („meble Kowalskich"), nowoczesnych mebli kuchennych i tak zwanych meblarskich drobiazgów,** których nikomu nie opłaca się produkować: ław, stolików różnego rodzaju, szczególnie pod telewizory itd. Istnieje ogólnokrajowa tendencja ograniczania produkcji mebli biurowych, szczególnie biurek na rzecz tych właśnie mebli poszukiwanych. Dotyczy to głównie przemysłu terenowego i spółdzielczości. Ale te niechętnie przestawiają się na bardziej pracochłonne asortymenty.

6.

Można by z tych rozważań wywnioskować, że sytuacja w naszym meblarstwie jest beznadziejna. Tak oczywiście nie jest. Jakość, estetyka mebli poprawiają się systematycznie, szczególnie przemysł kluczowy produkuje coraz lepiej. Rzecz w tym, że tych dobrych, atrakcyjnych mebli jest ciągle za mało, że nie nasycony rynek błyskawicznie je wykupuje.

Przemysł meblarski przechodzi swoistą rewolucję. Wkroczyła tu chemia, wypierająca stare tradycyjne surowce. Jeszcze 3—4 lata temu stosowano surowce klasyczne: lite drewno, politurę szelakową, sklejki, a do tapicerki: siano, słomę, trawy, sprężyny. Dziś wyeliminowano lite drewno, zastępując je płytami wiórowymi i pilśniowymi, tradycyjną politurę zastępują lakiery (nb. i tu widać stały postęp. Miejsce trudnych i żmudnych w procesie produkcji nitrolakierów zajmują lakiery poliestrowe, trwalsze i skracające cykl produkcji), w tapicerce miejsce słomy, siana i trawy morskiej, która do niedawna stanowiła swoisty luksus, zajmuje moltopren, czyli pianka poliuretanowa i formatki szczecinowo-kauczukowe. Tradycyjne sprężyny zastępuje coraz częściej szlarafia, czyli układ małych sprężynek. Dyrektor Milewski zapowiada, że Łódzka Fabryka Mebli wprowadza do tapicerki nowość w postaci układów bonnellowskich. Jest to system sprężynek pionowych, łączonych z poziomymi. Podobno wygoda niezwykła. Ale naszemu miastu znów przypadną ilości takie, że tylko wyjątkowi szczęściarze będą wiedzieli jak się śpi na układzie bonnellowskim. Reszta będzie dalej siedzieć i spać po spartańsku. Bo nasze „miękkie" meble określa się jako półmiękkie. W handlu oczywiście, u klienta jako całkiem twarde. Zresztą, może to sprawa tuszy użytkownika.

Postęp wymaga eksperymentu, eksperyment wymaga ofiar. Jeśli więc materac ze szlarafii będzie komuś zgrzytał i piszczał, jeśli pokrywa z nitrolakieru wypełni się po paru miesiącach pęcherzykami powietrza, jeśli ktoś przyklei się do swego mebla, to niech ten ktoś wie, że jest ofiarą postępu, bohaterem eksperymentu. Zawsze lżej wtedy na sercu.

Z teki Wacława Kondka

Ulica Piotrkowska

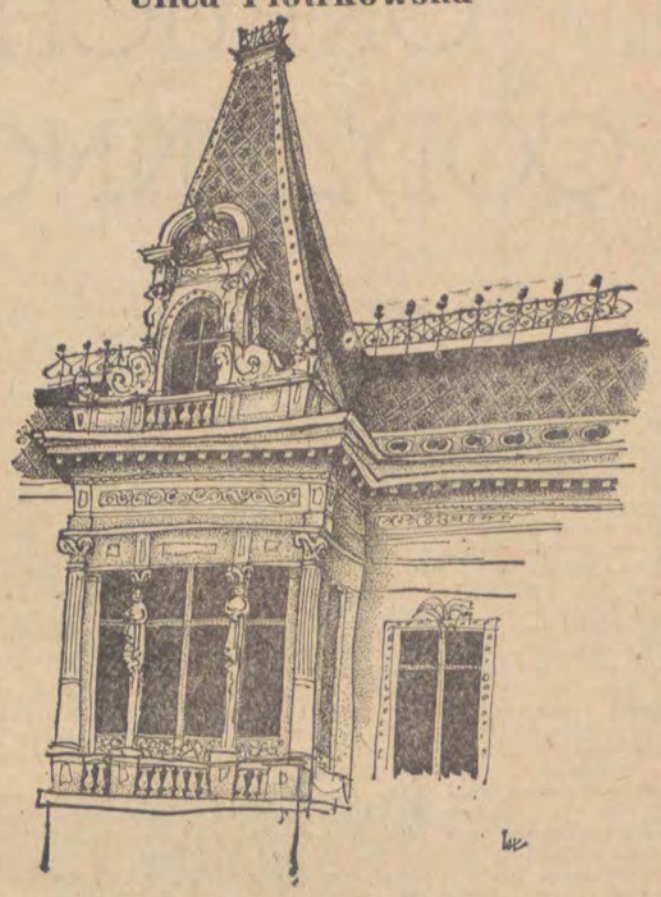

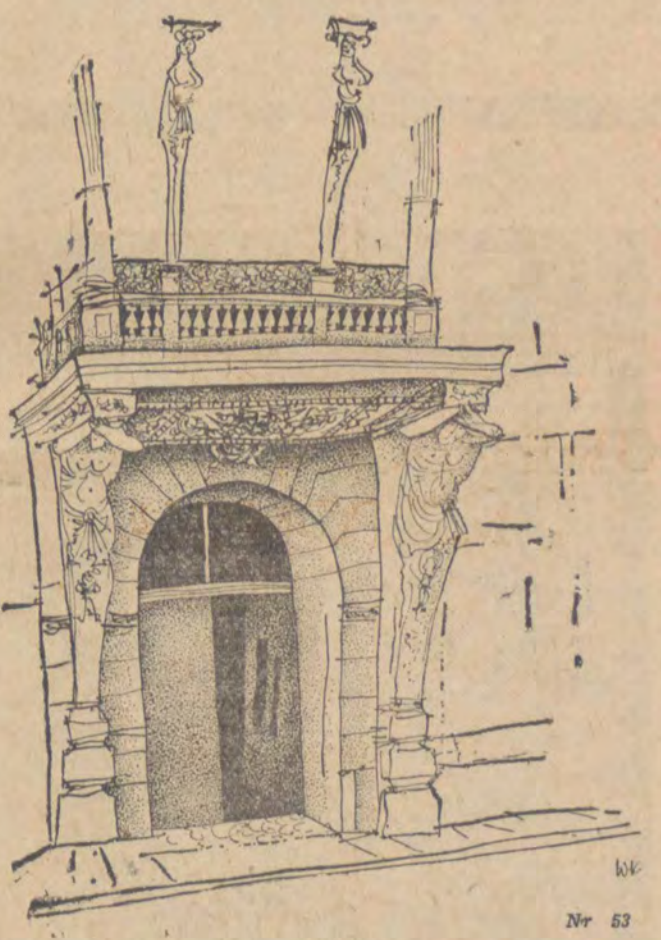

Nr 53

* * *

Szofer jadący przez wieś Nowosolną w woj. łódzkim zobaczył, że takowa płonie. Zatrzymał więc samochód i rzucił się ratować. Kiedy po długim a ofiarnym gaszeniu ognia wrócił do samochodu, zastał tam milicjanta, który pochwalił go za dzielność i wypisał mandat za parkowanie samochodu w niedozwolonym miejscu.

* * *

nr 37/497

Szefa łódzkiego biura odwiedził pan, który zaproponował wymianę starej ławki stojącej w poczekalni szefa na nową. Pan wyjaśnił, że jest lutnikiem i poszukuje drzewa schnącego już od 100 lat, a tyle, jak widzi, schła już ta ławka pod tylnymi częściami interesantów. Szef odmówił dokonania transakcji i ulegając snobizmowi na antyki kazał ławkę przenieść do swojego gabinetu.

* * *

nr 40/500

W Łodzi skazano Krzysztofa Wrońskiego, ratownika miejscowego kąpieliska, który nikogo za swej letniej kadencji nie uratowawszy usiłował za to utopić milicjanta, którego osobiście wrzucił do wody nie podejmując następnie swoich obowiązków służbowych, tylko dając nogi za pas. Obok strażaków — podpalaczy, mamy więc i ratowników — topicieli.

* * *

nr 43/503

„Głos Robotniczy" opowiada się za tolerancją wobec noszenia przez chłopców długich włosów, wskazując, że wszyscy godni dobrej pamięci klasycy marksizmu nosili długie włosy z wyjątkiem jednego, który nie mógł. Wybitna rola w historii należy do kudłaczy — spostrzega „Głos".

* * *

1967 r.
nr 10/523

Młoda łodzianka wzięła w sobotę ślub, w poniedziałek zaś rano, natychmiast po zakończeniu uczty weselnej przesłała do sądu pozew o rozwód. Nowo poślubiony nie zwlekał bowiem z wejściem w prawa i obowiązki małżonka i w trakcie wesela tak żonę stłukł, że pogotowie zabrało ją do szpitala. Sąd uznał, że rozkład więzów małżeńskich był całkowity, nim zostały one zawiązane i rozwodu udzielił.

* * *

nr 18/531

Drzwi otwarły się z trzaskiem i strumień wody oblał łódzkiego fotoamatora zajętego wywoływaniem zdjęć. Okazało się, że czerwone światło, przy którym wywoływał klisze dawało przez okno odblask przypominający pożar i przechodnie wezwali straż ogniową. Przemoczony fotoamator wykonał pamiątkowe zdjęcie straży pożarnej.

* * *

nr 18/531

Na posiedzeniu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi wysłuchano sprawozdania z wykonania postanowień uchwały tego organu o zwalczaniu alkoholizmu. W czasie wzmożonego zwalczania konsumpcja alkoholu wzrosła o wartość wynosząca prawie 100 milionów zł rocznie.

* * *

nr 25/538

Żurawiom budowlanym 35-metrowej wysokości, pracującym na łódzkich budowach nadano imiona zasłużonych dyrektorów miejscowych przedsiębiorstw budowlanych. Wabią się one „Adaś" i „Rysio". Wołane po imieniu — nie przybiegają.

* * *

nr 30/543

W Łodzi portier jedynej uchodzącej tam za wytworną, restauracji nie chciał wpuścić do środka młodej damy ubranej w spodnie, wyjaśniając, że w lokalu tym obowiązuje strój wieczorowy, wyklucza się zaś sportowy. Wiele nie zastanawiając się, dama owa publicznie zdjęła spodnie, a na protesty bramkarza oznajmiła, że jej bluzka nie jest krótsza niż mini-spódnice wchodzących właśnie pań, tedy można ją uznać za mini-suknię. Bramkarz oddał bramkę.

* * *

nr 36/549

Objawy rygorystycznego urzędowego formalizmu zdradzają również ludzie zajmujący wcale skromne stanowiska. W łódzkiej fabryce wybuchł pożar. Wezwano straż pożarną. Portier zamknął czerwonym samochodom bramę, oświadczając że nawet, jeśli spali się cała fabryka, której on strzeże, nie wpuści strażaków, dopóki nie zaopatrzą się w przepustki. Strażacy wezwali milicję i szarża milicji na portiernię utorowała strażakom drogę do pożaru w ostatniej już, z punktu widzenia fabryki, chwili.

* * *

nr 43/556

Specjalistom od psychologii przestępców polecamy anons prasowy treści następującej: „12 bm wieczorem do Pogotowia MO w Łodzi zgłosił się 60-letni Janusz Z. oświadczając, że przed chwilą podpalił magazyn Zakładu Fizyki Jądrowej UŁ przy ul. Narutowicza. Milicjanci pomyśleli, że mają przed sobą wariata. Mężczyzna upierał się jednak, żeby wezwać straż. Dodał, że jest kierownikiem magazynu, a podpalił go, żeby w ten sposób ukryć pewne niedobory, które świadomie spowodował.

* * *

nr 43/556

W Łodzi na ławie oskarżonych zasiadł gang bramowy. Członkowie szajki przedstawiali się za funkcjonariuszy miejskich, zdejmowali z domów i ogrodzeń wili metalowe bramy, ładowali je na samochody i sprzedawali na złom.

* * *

nr 45/558

Ryszard N. podczas rabowania sklepu przy ul. Przędzalnianej 3 w Łodzi zasnął w trakcie wykonywania obowiązków zawodowych i rano dopiero obudził go błysk flesza fotografa milicyjnej ekipy. Ryszard N. tłumaczył się „taka nudna robota".

* * *

nr 48/561

Posiadaczka jednej tylko książeczki samochodowej PKO 62-letnia Rozalia B. z Łodzi co pół roku regularnie wygrywa auto. Ostatnio uzyskała kolejno: „zastawę", „wartburga", „warszawę" i „trabanta". Zgnębiona tym ostatnim wydarzeniem zlikwidowała książeczkę samochodową oświadczając, że wobec takiego losu zniechęciła się do motoryzacji ma dość samochodów zakłada książeczkę premiową, woli żywą gotówkę.

* * *

nr 48/561

Łodzianki są wziętym towarem eksportowym. Odbył się tam jubileuszowy, pięćsetny w ciągu pięciolatki ślub łodzianki z cudzoziemcem. 10 proc. słuchaczy istniejącego w Łodzi Studium Języka Polskiego dla cudzoziemców, zapewnia sobie na przyszłość możliwość konwersacji w języku polskim wywożąc z Polski żonę. Są to jednak na ogół mylne kalkulacje językowe. Już po kilku latach okazuje się, że znajomość polskiego czarnoskórych mężów Polek jest wyłącznie bierna.

* * *

nr 49/562

Nocą w Łodzi, na ulicy Piotrkowskiej, oczywiście, patrol MO zatrzymał obywatela, który zakłócał ciszę wznosząc okrzyki: „Niech żyje" na część wymienianych z nazwiska osób. Sporządzający protokół zajścia funkcjonariusz jął na wszelki wypadek podejrzliwie dociekać, kim są ci, na których cześć przechodzień wołał „Niech żyje". Zatrzymany wyjaśnił, że jest stażysta w szpitalu i że okrzyki jego dotyczyły co cięższych przypadków jakie ma na oddziale.

STANISŁAW KASZYŃSKI

OKRUCHY CODZIENNOŚCI

PAMIĘCI WACŁAWA MROZOWSKIEGO

...Dziś już nie pomnę, jak to się właściwie stało, że odwlekałem z nim rozmowę, spotkamy się w przyszłym tygodniu, na pewno, obiecywałem mu solennie, wówczas będę miał więcej czasu, zrozum mnie tylko dobrze, bo przecież mówić o t y m, mając na głowie tyle spraw do załatwienia, nie miałoby sensu; znasz mnie doskonale, muszę skupić się, skoncentrować, ażeby przekazać coś, co mnie dręczy i gniecie, a zresztą nie odbiorę jak trzeba twoich słów i obrazisz się, gdy będę zerkał niespokojnie na zegarek (zawsze go irytowało moje dyskretne odchylanie mankietu), a przecież zastanów się, mój drogi, kochany, ja doprawdy nie chciałbym cię urazić, ciebie szczególnie nie; na tyle jestem wrażliwy aby pojąć i stosować nie taki znowu subtelny zwyczaj czy obowiązek okazywania ludziom elementarnego szacunku, bo ja wiem, czy akurat wszystkim bez wyjątku ludziom, z którymi życie, praca albo wręcz nieprzewidziane okoliczności, jak choćby jazda tramwajem, nas zetkną na lata bądź na minuty, właśnie: czy wszystkim aby napotkanym przez nas ludziom należy się poważanie, o, zaiste nie wiem, niby to takie proste, lecz musiałbym zastanowić się choć przez chwilę, aby odpowiedzieć, a przecież nie mam czasu, pozwól jednak, że powiem ci wprost, co teraz czuję, pragnę, byś wiedział raz na zawsze, byś znał moją opinię w tej mierze, ponieważ zapracowani i rozbiegani, zajęci sprawami ważnymi, możemy nie wrócić już nigdy do tej kwestii, błahej niewątpliwie kwestii, a zatem: nie, poważanie, szacunek, jest wyższą formą stosunku do kogoś, rzekłbym dojrzalszą i głębszą, jest formą intymniejszą, a poprzedza go poznanie, a potem już rozpoznawanie przez obcowanie z kimś, niekoniecznie zażyłe, wystarczy i przelotne, nie trzeba, do diabła, zjeść beczkę soli, jak powiadają, aby poznać kogoś zupełnie, wystarczą jakieś kontakty, albo nawet i sprawdzanie z daleka czyjejś lojalności, w czasie i w miejscu, dokąd nie dochodzi nasza obecność, dość na tym, iż z gęstwy słów wypłynie jakieś słowo, zdanie, jakieś, poświadczające dobre lub złe mniemanie o tobie, czasem zdarzy się, że, niebaczny, włączysz się w taki dyskurs — zwykła ciekawość — zaczynasz oto wsłuchiwać się w usłużne lub mimowolne przepowiadanie plotek, i jeśli odznaczasz się zachęcającą do zwierzeń cierpliwością, dowiesz się wiele, wprowadzisz do pamięci pochlebstwo lub nienawiść, weźmiesz ten ciężar z sobą (jakżeby inaczej!), z biegiem czasu wprawdzie roztrwonisz go, lecz coś pozostanie, osiądzie kamieniem goryczy, przeto — daruj, że zatrzymam cię jeszcze przez moment — bardziej przeto rozsądną rzeczą jest przestrzegać umiaru we wszystkim, czyż to aż takie trudne zmniejszyć ów gest poważania, zastąpić go szczyptą uwagi, pogodnej tolerancji, czynić ruchy ostrożne, oszczędne, nie dodawać im słów, które rozgrzewają nasze emocje; nie gniewaj się, że ja z takim gadaniem, nadętym i rozmazanym, oczekuję, że w czasie spotkania — pamiętaj, w przyszłym tygodniu! — zmyjesz mi za nie głowę, jak zawsze, będziesz miał rację, proszę cię, nawymyślaj mi od mędrkujących mięczaków, tyle upiornej grozy na świecie, a on (takie głupstwa chodzą mu po głowie), no, a o t y m, porozmawiamy szeroko, wysuszymy butelkę starego wina, zapalę dwie świece...

Dzisiaj właśnie, w sobotę, czekam na niego, umówiliśmy się na szóstą, to najlepsza pora na przyjacielskie spotkania, o tej godzinie odczuwa się lekkie zmęczenie, a i gotowość do zwierzeń, chociaż gdyby nie przyszedł, wiele by można jeszcze zrobić, ależ nie, wcale nie żałuję, że ten wieczór zapiszę na straty, człowiekowi też coś się należy, wino zaś odpędza lub napędza ponure myśli — wyznam, że mnie wprowadza zawsze w świetny nastrój — może by już rozlać? nie, nie, pomyśli, że takim niecierpliwy, skory do popijania, a w tej materii nawet chęć szkodzi w oczach ludzkich, po co pośpiech; zaraz, zaraz, zdaje mi się słyszę dzwonek, pozostało co prawda piętnaście minut do szóstej, a on jest nieporównanie punktualny, jeśli jednakże przyjechał wcześniejszym autobusem, nie spacerowałby po ulicy w taką pogodę, łatwo o przeziębienie, lecz nie, to sąsiadka z dołu, zepsuł im się telewizor, pan redaktor może by naprawił — też trafiła, z mozołem wymieniam korki, lecz pochlebia mi wysokie mniemanie o moich umiejętnościach, dziękować, że choć sąsiedzi człowieka cenią, bo w domu to za hetkę-pętelkę, nawiasem mówiąc to dobrze, że nie przyszedł, jakoś nie zauważyłem, że biurko zawalone papierami, a miałbym się z pyszna, gdyby wtargnęła akurat żona, nie masz za grosz szacunku dla ludzi — tak by krzyknęła z progu, nie zdejmując palta; o ile można przewidzieć kobiece postępki w takich sytuacjach, każda podbiegłaby do biurka — w palcie, z kapeluszem na głowie lub w ręku — i zaczęłaby sprzątać gorączkowo, nie dbając o to, czy odnajdzie się potem ład w tym porządku, lecz dzisiaj nie grozi inwazja z tej strony, ł a d poszedł do kina, cóż za szczęście, iż istnieją takie domy, w których, jakże prostymi środkami odejmuje się na pewien czas bliźnim potrzebę aktywnego istnienia, a przecież żyjąc bez podobnych narkotyków można również to i tamto smakować po drodze, na przykład las albo muzykę, z wiekiem przybywa wprawdzie człowiekowi na wadze, lecz nie sądzę, ażeby zmniejszała się ilość przyjemności, wymienia się tylko jedne na drugie; ale do czego prowadzi takie rozmyślanie, stwierdzam rozglądając się po pokoju: nie zaparzona jeszcze herbata, zdążę przecież, zdążę, jest za pięć szósta, w korytarzu żadnych odgłosów, lada chwilka powinien wszakże zadzwonić; najpierw usłyszę wycieranie nóg, potem głos, powie: „Dobry wieczór" albo „Jak się masz, stary", natychmiast zwlokę z niego zmoczony płaszcz, przejdziemy dalej, usadowimy się w fotelach przy biurku (tak będzie najwygodniej), zapalimy, ja otworzę butelkę, ażeby co prędzej rozprostować odrętwiałe kości, a po kwadransie, po godzinie, gdy zdążymy już postrzępić języki o znajomych, więc potem, podejdę do adaptera, nastawię starego Haendla i zasłuchany w niepojęte obszary jego światła, wtedy i nie wcześniej pojmę, nie próbując sobie objaśniać, że ON już nie przyjdzie, nie zadzwoni, bo był i będzie.

Łódź, 18 grudnia 1967.

Fot. W. Parys

TADEUSZ GICGIER

To będzie skała

To będzie skała, której nic nie skruszy.
Wiatry w nią biją, uderzają deszcze,
ona trwa w deszczu, w mrozie i w spiekocie
na przekór prawom trwania i korozji,
Dołem przechodzą strudzeni turyści,
czasem przystają w skały modrym cieniu,
patrzą, jak szczyt jej godzi prosto w słońce,
aby mu wydrzeć jak najwięcej blasku.
A kiedy widzę, że cel osiągnięty,
i blask, i trwałość, i lotność, i słońce
takie, że serce go nie może zmieścić —
uderzam w skałę sercem jak taranem,
i kruszę skałę, tańczę na jej gruzach
pełen pierwotnej, przewrotnej radości,
że i ta skała legła pokruszona,
nie trwałego pod słońcem.

Antytezy

Tak wiele wiemy o sobie,
wiele i zarazem mało:
to źle, a może to lepiej,
kto rzecz tę przesądzić zdoła?
Gdy rozrywamy zasłony,
robimy to przerażeni,
lecz nas do tego popycha
przemożna konieczność, która
jest w nas i jest poza nami.

Oto wobec ciebie nagi
stanąłem, cyprys czułości,
bicz okrucieństwa. A kiedy
okrucieństwo jest czułością,
a czułość jest okrucieństwem —
jak znieść coś nie do zniesienia?

Uciekam, oprawca, który
zwać też się może ofiarą,
co tyle pożałowania
jest godna, ile — zazdrości.

Rzucając żywych, tym właśnie
ich uśmiercamy. Na jawie
już nie istnieją, lecz wtedy
w snach wracają, i, choć martwi,
stoją jak żywi i patrzą.

Wiosno zraniona, ty broczysz
życiodajnymi sokami,
których lepkość i krzepliwość
potrafi zasklepić ranę.
Ale gdzie palec swój włoży
Tomasz, cierpiętnik niewierny?

JAN KOPROWSKI

Niezwykła książka niezwykłej kobiety

Książka ta może stanowić nieustanne źródło pokrzepienia. Albowiem pokazuje, że człowiek z najgłębszego dna ciemności potrafi wydźwignąć się na szczyty, że w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej, dzięki pomocy drugiego człowieka oraz dzięki własnej nadludzkiej energii jest w stanie osiągnąć to, co wydaje się nieosiągalne. Mówię o Helenie Keller, a mówię to z okazji wydania po polsku jej autobiografii „Historia mojego życia". Rzecz ta pojawiła się w Ameryce po raz pierwszy w 1902 roku i już trzy lata później przełożyła ją na język polski Alina Świderska. Wydanie obecne nie jest powtórzeniem tamtego. Nowa tłumaczka, Janina Sujkowska, włączyła do autobiografii Heleny Keller przedmowę Eleonory Roosevelt, słowa wstępne amerykańskich wydawców, ponadto wzbogaciła część ostatnią (trzecią) książki, przytaczając opinie i świadectwa, odnoszące się do oceny osobowości autorki i jej pracy literackiej.

Helena Keller urodziła się 27 czerwca 1880 roku z matki Amerykanki i ojca z pochodzenia Szwajcara — spokrewnionego z rodziną znanego pisarza szwajcarskiego Godfrieda Kellera. Gdy Helena miała półtora roku, dotknęła ją ciężka choroba (zapalenie opon mózgowych), która w następstwie pozbawiła ją wzroku i słuchu, a częściowo również mowy. Od tąd wzrastało to dziecko całkowicie po omacku w świecie, którego nie widziało i nie słyszało, nie rozumiejąc nikogo i nie będąc przez nikogo rozumianym. Lekarze nie zdołali zaradzić kalectwu, mimo stałych i uciążliwych starań i zabiegów ze strony zrozpaczonych rodziców. Trzeba było pogodzić się z losem i poszukać dziecku wychowawczyni i nauczycielki. I oto znalazła się kobieta, Anna Sullivan, przez pewien okres swego życia również niewidoma, która ze znawstwem i prawdziwym oddaniem poświęciła się wychowaniu małej Heleny.

Zaczęła ją uczyć mowy specjalną metodą: wystukiwaniem palcami w drobną dłoń dziecka poszczególnych wyrazów. Ze słów nauczyła ją tworzyć pojęcia, z pojęć kojarzyć związki rzeczy i tak, stopniowo i z ogromnym trudem, w na wpół zdziczałym dziecku począł budzić się czujący człowiek. Potem Anna Sullivan postanowiła nauczyć swoją uczennicę głośnego mówienia przy pomocy skomplikowanych i trudnych do opisania środków i sposobów. M. in. kładła delikatne palce Heleny na swoje usta i szyję, by w ten sposób mogła ona uchwycić ruchy warg i ruchy strun głosowych i zacząć po jakimś czasie mówić na głos.

Książki, drukowane pismem Braille'a, umożliwiły Helenie zdobywanie wiedzy. Dzięki wielkiej pilności i zdolnościom oraz dzięki niezmordowanemu poświęceniu Anny Sullivan, przeszła Keller wszystkie stopnie wykształcenia, zdołała nawet osiągnąć tytuł doktora filozofii. I nastał w jej życiu taki moment, że sama zaczęła przemawiać do niewidomych i głuchych studentów, opowiadając im o sobie i swoim życiu, i zagrzewając tym samym do wytrwania dziesiątki młodych, dotkniętych kalectwem ludzi.

Były takie lata w życiu Heleny Keller, gdy po stracie rodziców popadła w wielką nędzę. Dostały się wówczas z Anną Sullivan do varieté, gdzie Keller występowała wraz z akrobatami, psami i papugami jako osobliwy człowiek, który nie widząc i nie słysząc, potrafi odpowiadać na pytania publiczności. Ponieważ głos jej nie był piękny i wymowa niezbyt wyraźna, ludzie szurali nogami podczas jej występów, a dyrektor cyrku pozbawiał ją często należnego jej honorarium. Zdarzało się więc i tak, że szły obie przed występem po sali i zbierały datki na swe utrzymanie.

„Historia mojego życia" jest więc autobiografią wyjątkową i do żadnej innej niepodobną. Napisana przez człowieka, który nigdy nie widział drzew, nieba, drogiej sobie osoby, sprawia, że czytamy ją z nastawieniem specjalnym, odnajdując w niej odczucia i wyobrażenia nam nieznane. „Historia mojego życia" to nie jedyny utwór literacki Heleny Keller. Napisała ona wiele innych rzeczy, m. in. takie pozycje jak „Mój świat", „Optymizm" i „W środku życia", wszystkie oparte w mniejszym lub większym stopniu na wątkach autobiograficznych.

Dziś Helena Keller liczy 88 lat. Zdumiewająca jest ta długowieczność, zdumiewający heroizm kobiety-pisarki która miała wszystko przeciwko sobie i wszystko zdołała pokonać. Kiedym czytał „Historię mojego życia" myślałem często: my, ludzie zdrowi, nie mamy prawa uskarżać się i narzekać bo czymże są nasze małe dolegliwości wobec jej tragedii, przemienionej w niepodważalną afirmację życia!

Helena Keller: „Historia mojego życia", przełożyła Janina Sujkowska, Czytelnik, Warszawa 1967 r.

WANDA LIPIEC

JUBILEUSZ TEATRU ŁÓDZKIEGO 1888 — 1968

W roku bieżącym mija 80 lat od chwili powstania teatru stałego w Łodzi. Należy przypomnieć tę rocznicę wszystkim, dla których „nic co łódzkie" nie może być obce lub obojętne. Nie od rzeczy będzie przypomnieć o tej rocznicy naszym teatrom, ich kierownikom i opiekunom. I choć przeszłość naszego teatru, **to dzieje borykającego się z trudnościami teatru prowincjonalnego** — należy pamiętać o jednej z kardynalnych zasad teatralnego dziejopisarstwa: **Każdy teatr prowincjonalny był cząstką ogólnej historii naszego narodowego teatru niezależnie od swej rangi artystycznej czy poziomu.**

Przypomnijmy tu również znane słowa Wiktora Hugo: **„Teatr jest szkłem powiększającym historii".** Teatr łódzki miał w wielonarodowościowej Łodzi sprzed lat osiemdziesięciu, w warunkach carskiego zaboru swoją szczególną funkcję — był mówiąc nieco emfatycznie — **trybuną polskości.** Był miejscem publicznym, z którego poza amboną mogło brzmieć polskie słowo, zakazane w szkole i w urzędzie. W latach osiemdziesiątych, kształtują się kręgi polskiej inteligencji zawodowej — inżynierowie, lekarze, prawnicy, adwokaci, publicyści i dziennikarze. Skupiali się oni wszyscy przede wszystkim wokół prasy tj. wychodzącego od r. 1884 „Dziennika Łódzkiego" i samoistnych związków natury towarzyskiej w czasach, gdy w o związkach zawodowych nie mogło być mowy. Z środowisk tych wyłoniło się nieoficjalne grono miłośników teatru, propagujące ideę opieki i mecenatu, a ściślej mówiąc — pomocy finansowej.

Nie była to, oczywiście, pomoc wystarczająca, ale myśl o teatrze stałym zakorzeniała się coraz mocniej, po latach kilkunastu w r. 1903 powstało już pierwsze w Łodzi oficjalne Towarzystwo Teatralne, działające do roku 1918. Poparcie finansowe i moralne umożliwiało pewną stabilizację zespołów aktorskich, pomagało w konserwacji lub renowacji zasadniczego budynku teatralnego, którym przez lat blisko trzydzieści był Teatr Victoria. Można tu już mówić o jakimś „uteatralnieniu", a w każdym razie o potrzebie teatru w kręgach łódzkiego społeczeństwa, przede wszystkim wśród jego warstw średnich. Nic więc dziwnego, że w pierwszym ćwierćwieczu naszego teatru (lata 1888—1914) spotkamy wśród jego kierowników i dyrektorów ludzi wybitnych, jak Michał Wołowski (1895—1900), założyciel pierwszego teatru robotniczego na Księżym Młynie, Marian Gawalewicz (1903—1906), Aleksander Zelwerowicz (1908—1911) i znakomity aktor i dyrektor całkowicie już niezależnego finansowo Teatru Popularnego — Andrzej Mielewski, który zyskał poparcie szerokich kręgów łódzkiej publiczności i wybitny szacunek u krytyków teatralnych. Każdy z nich wniósł do dziejów repertuaru sceny łódzkiej i jej kultury artystycznej swoją wybitną indywidualność i wkład swych twórczych zasobów. Każdy z nich przyciągał do powiatowego wówczas „miasta Łodzi" młodych, uzdolnionych aktorów, którzy z czasem stali się chluba scen polskich.

Kim byli pierwsi inicjatorzy teatru stałego?

Inicjatywa wyszła z kół dziennikarskich — teatralnych i łódzkich publicystów, wśród których znajdowali się prawnicy i ekonomiści, związani skądinąd przez swą działalność z Towarzystwem Kredytowym m. Łodzi. Te związki i różnorodne filiacje zadecydowały o pomocy materialnej i kredytach dla pierwszych dwóch dyrektorów teatru stałego: Luciana (Łucjana) Kościeleckiego (1888—1890) i Karola Kopczewskiego (1890/91). Dotacje „grona ludzi dobrej woli" nie były w ówczesnych warunkach wystarczające, stąd późniejsza ruina dyrektorów tej miary co Michał Wołowski czy Marian Gawalewicz.

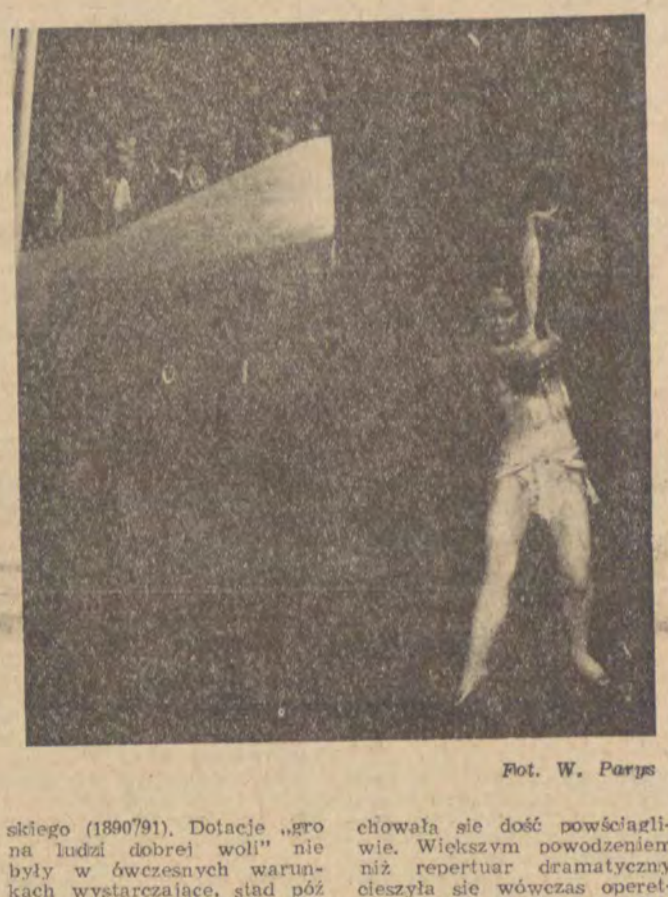

Fot. W. Parys

Łucjan Kościelecki przybył do Łodzi z trupą Józefa Teksla. Gdy zaczął zawodzić go słuch, zajął się dziennikarstwem i związał się w r. 1884 z „Dziennikiem Łódzkim", gdzie pracował najpierw w administracji a potem jako felietonista i krytyk teatralny. Recenzje i sprawozdania pisywał pod pseudonimem „Sarmaticus". Był rzeczowy i wnikliwy. Krytykę teatralną uprawiał z pozytywistycznego punktu widzenia. Zorganizował zespół spośród najlepszych aktorów scen prowincjonalnych. Znajdowali się tam między innymi dwaj wybitni aktorzy sceny lwowskiej: Ferdynand Feldman i Józef Chmieliński. Ponadto związany z Łodzią już na stałe Marian Winkler, Karol Kopczewski, uzdolniony tenor — Tytus Olszewski.

Otwarcie dobrze zapowiadającego się sezonu nastąpiło 6 października 1888 r. Kościelecki wybrał na inaugurację wielokrotnie już grana w Łodzi komedię — Małżeństwo Apfel — Kazimierza Zalewskiego. Mimo dobrego wykonania sztuki, publiczność zachowała się dość powściągliwie. Większym powodzeniem niż repertuar dramatyczny cieszyła się wówczas operetka, ale i ta nastręczała trudności natury obsadowej, a przede wszystkim finansowej, wymagała bowiem odpowiedniej oprawy.

Po upływie dwóch lat musiał Kościelecki zrezygnować z prowadzenia teatru.

Nie byłaby to rzecz godna wzmianki, gdyby nie znajdował się w tym zespole aktor niezwykły, ale wciąż jeszcze niedoceniany — Kazimierz Kamiński. Tu właśnie, w stolicy carów, zwrócił na siebie uwagę recenzentów polskiego pisma „Kraj". Występował w operetce i komedii, o czym wspomina w swych interesujących zapiskach, fragmencie pamiętnika o dolach i niedolach młodości.

Kazimierz Kamiński w trupie Łucjana Kościeleckiego! Takie to były ówczesne paradoksy teatralne! Pierwszy dyrektor stałego teatru łódzkiego miał jednak niezłe oko!

Kim był drugi z kolei dyrektor naszej stałej sceny? Był przede wszystkim zdolnym aktorem, ponadto człowiekiem bardzo oddanym sprawie teatru łódzkiego. Ratował jego egzystencję, jak tylko mógł i kiedy mógł. Reorganizował zespoły, gdy porzucali je jeszcze w środku sezonu ich dyrektorzy i kierownicy (Teksel i Puchniewski w połowie lat osiemdziesiątych). Umiał teatr szczęśliwie doprowadzać niemal do końca sezonu, a nawet przedłużać spektakle w teatrze Victoria, aż do przyjazdu letniej trupy, która występowała w teatralnym ogródku Fryderyka Sellina przy ul. Konstantynowskiej (obecnie Obrońców Stalingradu w pobliżu placu Wolności).

Karol Kopczewski był aktorem o dość rozległym „emploi", tj. o dość szerokiej skali możliwości. Ale przede wszystkim był wiernym „amantem" łódzkiej sceny. W ciągu niemal roku swego kierownictwa (1890/91) podniósł wybitnie jej poziom. W jego trupie pracowała cała niemal rodzina Trapszów: Marceli, jego żona Aleksandra, brat Stanisław i obie siostry: Tekla i Irena. Ponadto młoda i utalentowana Felicja Pichorówna, Gabriela Morska, Bissen-Janowska. Zarówno Marian Winkler, Tytus Olszewski, a przede wszystkim Karol Kopczewski nie mieli prowincjonalnych nawyków i przyzwyczajeń. Scena łódzka była w sezonie 1890/91 niewątpliwie przodującym teatrem prowincjonalnym w zaborze rosyjskim. Otwarcie sezonu poprzedzone było uroczystym nabożeństwem. Tego dnia kościół i teatr podały sobie ręce. Rzecz dość rzadka w ich dziejach!

Krytyka muzyczna wzbogaciła się wówczas o cennego recenzenta, Stefana Krzyszkowskiego, założyciela Łódzkiego Tow. Muzycznego. Operetka pod wprawną batutą p. Balcarka osiągnęła dobry poziom. Śpiewacy — panna Caroli, Olszewski i znakomity aktor Władysław Roman — byli filarami teatru muzycznego. Sezon ten uświetniła dwukrotnym pobytem w Łodzi Helena Modrzejewska. Mimo to, a może ze względu na wystawę i staranną oprawę sceniczną — bilans roczny skończył się dużym niedoborem finansowym, który został całkowicie pokryty przez „grono ludzi dobrej woli".

STUDENCKA MELPOMENA

Dalszy ciąg ze str. 1

z perspektywy dnia dzisiejszego nie wydają się najwyższego lotu, ale wtedy zasadniczą ich wartość stanowiła aktualność, nośność myślowa i emocjonalna, bezpośredniość. To były przede wszystkim teksty satyryczne. Co się dzieje obecnie? Programy składankowe wyraźnie się przeżyły i nie znajdują uznania ani w oczach samych studentów, ani w oczach jurorów. Co zatem dziś stanowi specyfikę teatru studenckiego? — spróbujmy odpowiedzieć. To przecież studenci odkryli Witkacego. Spektakl „Szewców" w „Kalamburze" wywołał falę zainteresowania Witkacym i w konsekwencji posypały się warszawskie premiery. „Kalambur" utorował drogę do tekstów zapomnianych, niedocenianych, przyczynił się do ich nowego odczytania. Ostatni łódzki przegląd grudniowy dostarczył w tej mierze dalszych przykładów. Na wokandzie znalazło się niemal całe dwudziestolecie, o którym do tej pory my, młodzi, mieliśmy dość mgliste wyobrażenie. Sięgnięto nie tylko do literatury rodzimej, ale i radzieckiej, nie bez związku z rocznicą pięćdziesięciolecia Rewolucji. Okazało się, że i tam studenci potrafili znaleźć pozycje bardzo interesujące, chociażby „Elżbietę Bam". Zatem obecny model teatru studenckiego preferuje zamknięte utwory dramaturgiczne, często zapomniane lub zapoznane, odkrywając w ich interpretacji nowe, aktualne wartości. Istotną rolę w tym modelu odgrywa forma artystyczna, poszukiwania inscenizacyjne. I tak chyba wyglądać będzie droga teatru studenckiego w najbliższej przyszłości.

RYSZARD CZUBACZYŃSKI: Te zmiany w modelu teatru studenckiego mogliśmy zaobserwować w konkretnej pracy teatralnej. Mniej więcej przed pięciu laty w „Pstrągu", który należał wszak do zespołów awangardowych na równi z „Bim-Bomem" i STS-em, stwierdziliśmy, że programy składankowe przestają się sprawdzać. Pozostała jeszcze charakterystyczna dla studenckiego teatru i bardzo, moim zdaniem, cenna animacja piosenki. Mam tu na myśli inscenizację piosenki, pozwalającą na jej udramatyzowanie i mocniejsze spointowanie, niemożliwe w przypadku normalnego, solowego wykonania. Nasze programy przestały pasjonować studentów, nie prowokowały dyskusji. Wielu z naszych kolegów, jak wspomniał Wojtek, stało się profesjonalistami mając już mało czasu dla teatru studenckiego. Zabrakło warunków na stworzenie programu opartego na własnych tekstach, opartego na działaniu pewnej grupy ludzi, zespolonych bezinteresownym entuzjazmem, mających coś istotnego do powiedzenia i chwytających za pióro, żeby to wyrazić. Przemiany te przebiegały podobnie we wszystkich środowiskach studenckich kraju. Teatry powstające mniej więcej przed sześciu laty, takie jak Teatr 38, Kalambur itd. nie zaczynały już wcale od składanek, ale od razu proponowały nowy model. Przypominam sobie zajadłe spory, jakie toczono nad słusznością podejmowania przez teatr studencki, przy znacznie gorszych możliwościach aktorskich, repertuaru teatru zawodowego. Okazało się w praktyce, że potrafiliśmy osiągnąć lepsze rezultaty niż w teatrze zawodowym, stworzyć spektakle już dziś historyczne, odznaczające się bardzo indywidualnym i własnym sposobem interpretacji. Tytuły już tu wymieniano. Chciałbym zasygnalizować jeszcze jedno zjawisko. Jak wspominaliśmy, dawny trzon ruchu teatralnego odsunął się od aktywnego w nim uczestnictwa, służąc raczej radą i pomocą. Nastał w teatrze studenckim moment pewnego oczekiwania na zmianę warty, na nowe pokolenie, które przejmie pałeczkę z rąk weteranów. Niestety, na przykładzie „Pstrąga" i innych zespołów widać, że problem owej zmiany warty jest bardzo trudny i złożony, a to z różnych przyczyn. Przede wszystkim jednak nie możemy znaleźć ludzi pełnych entuzjazmu. Może zresztą nie jest tak źle, skoro jest tu wśród nas kolega Glinkowski, który należał kiedyś do „Pstrąga" a potem sam stworzył nowy zespół. Już sam fakt, że powstają nowe, czysto studenckie zespoły jest zjawiskiem pocieszającym. Ale w starych zespołach sytuacja wygląda niewesoło. Uwzględniając to, Rada Naczelna ZSP nie wymaga, o ile mi wiadomo, posiadania przez członków teatru aktualnej legitymacji studenckiej. Problem jest oczywiście dyskusyjny, ale, moim zdaniem, nie należy odsuwać od teatru studenckiego absolwentów, którzy się nim pasjonują, co nie zawsze da się powiedzieć o dzisiejszych studentach.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Kiedy myśmy zaczynali, to teatrów studenckich było maksimum kilkanaście, a dziś jest ich około 100. Ruch teatrów studenckich rozwija się więc. Sięgnijmy w przeszłość. Był w Łodzi „Pstrąg" i „Cytryna". „Cytryna" kroczyła tą samą drogą co „Pstrąg", ponosiła jednak porażki. Dlatego zaczęła szukać własnych ścieżek i znalazła je. Była wówczas osamotniona. Patrzyliśmy z wyższością na zespół adaptujący cudze teksty. Mieliśmy bowiem sami dużo do powiedzenia. Czasy też były inne i atmosfera w środowisku studenckim inna. W latach pięćdziesiątych studiowało pokolenie powichrowane jeszcze przez wojnę, o znacznej rozpiętości wieku, o wybujałych ambicjach itd. itd. Obecnie zainteresowania studentów są inne. Łatwiej jest zorganizować duży zespół bigbeatowy niż znaleźć chętnych do teatrzyku poezji. Są oczywiście wyjątki, ale potwierdzają tylko regułę. Wtedy tworzyliśmy grupy, zespolone wspólnymi ambicjami i wspólnym zapałem. Opuszczało się zajęcia po to, by szyć kurtynę. Nie należy więc mówić o stagnacji, bo temu przeczy ilość teatrów studenckich, należy raczej mówić o zmianie orientacji.

JAN KWAPISZ: Sytuację teatrów studenckich utrudnia coraz bardziej fakt, że obrosły już one w tradycję. Coraz trudniej o jakieś wydarzenie artystyczne na dużą skalę. Problem zmiany warty jest istotny. Czekamy na studentów z młodych roczników. Są przecież wśród nich ludzie zdolni. Chętnie przekażemy im teatr, będzie on wtedy ciekawszy, bo będzie ich własnym, studenckim teatrem, będzie wyrażał ich aktualne poglądy i problemy.

Chciałbym jeszcze podkreślić, że teatr studencki, to interesujący repertuar plus odkrywcza forma. Są to teatry eksperymentujące, poszukujące. Ich poszukiwania stanowią rodzaj protestu przeciw szarzyźnie teatrów zawodowych. Z drugiej zaś strony, dzięki swej ogromnej swobodzie, tworzyć one mogą autentyczne i śmiałe wartości zarówno w dziedzinie treści jak i formy.

JAN JAKUBISZYN: Zgadzam się ze zdaniem Janka. Teatry nasze są rzeczywiście niezależne. Nie obowiązują w nich żadne limity widzów, plan pieniężny itd., a istniejące plany finansowe i tak nie są realizowane co zresztą przyczynia nam nieco kłopotów. Chciałbym jeszcze powrócić do problemu zmiany warty. Weterani ruchu starają się służyć radą i pomocą młodszym kolegom, odrzucając często ich propozycje jako nie licujące z tradycją zespołu lub stanowiące krok wstecz. To wpływa ujemnie na zapał młodzieży, tym bardziej że ci starsi pa-

Dalszy ciąg na str. 8

MARIA KORNATOWSKA

Konfrontacje 67: „POWIĘKSZENIE"

Niezależnie od wszelkich wątpliwości, jakie budziła zawsze ta impreza, szkoda, że w tym roku, my czyli mieszkańcy Łodzi, pozbawieni zostaliśmy możliwości oglądania filmów prezentowanych w ramach Konfrontacji 67 w Warszawie. Jak zwykle, zabrakło Konfrontacjom niektórych głośnych pozycji roku, takich chociażby jak „Mouchette" Bressona, „Chinka" Godarda, „Persona" Bergmana, „Jak wygrałem wojnę" Lesera, „Króla Edypa" Pasoliniego, „Noc oblubieńcy" Kachyny itd. Życie jednak poucza, iż miast ubolewać nad tym czego nie było, lepiej zastanowić się nad tym co jest.

Na Konfrontacjach zabłysły pięknie dzieła reprezentujące kraje socjalistyczne: Jugosławię, Węgry, Bułgarię. Przewrót w kinie, jak widać, obejmuje coraz to nowe rejony. Zaraza szaleje w królestwie X Muzy. Najlepszym tego świadectwem był urzekający film jugosłowiański „Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów".

Jak przystało na wytrawnych znawców kina, publiczność warszawska największym zainteresowaniem obdarzyła dzieło mistrza współczesnego filmu, poprzedzone niebywałą famą i rozgłosem nieco skandalicznym, czyli jak Czytelnicy już zapewne domyślają się — „Powiększenie" Antonioniego. Mistrz nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, zrobił film znakomity.

W swojej słynnej teatrologii, Antonioni starał się zgłębić przejawy i przyczyny tragicznego rozdźwięku między „tradycyjną" jeszcze świadomością człowieka, a supernowoczesną cywilizacją, w której przyszło mu żyć. W „Powiększeniu" mamy nareszcie nowego bohatera, o nowej świadomości, znakomicie przystosowanej do kształtu i rytmu dzisiejszego świata. Modny, londyński fotograf Thomas reprezentuje w stanie doskonałym te cechy, które zarysowane zostały w postaci maklera giełdowego z „Zaćmienia", granego przez Alain Delona.

Rzeczywistość, w której żyje Thomas jest tylko ciągiem wrażeń zmysłowych, wizualnych i dotykowych, istniejących w okruchach teraźniejszości. Bohater nieprzypadkowo wykonuje zawód fotografa. Antonioni utożsamia wizję rzeczywistości ukazanej w filmie ze sposobem widzenia swego bohatera. Utożsamia jego spojrzenie ze spojrzeniem kamery. „Powiekszenie" daje fotograficzny obraz świata, chłodny, ostry, dokładny w najdrobniejszych szczegółach. Ludzie istnieją tu w gestach, ruchach, w znakomicie fotografowanych portretach twarzy. Przedmioty osiągają niemal trójwymiarową materialność. Tkanka filmu składa się z faktów i obserwacji. Żadnych wzruszeń, żadnych nastrojów, nic z owego niepowtarzalnego klimatu dawniejszych dzieł mistrza. W świecie zamieszkiwanym przez Thomasa nie ma bowiem nic poza tym, co widzialne lub dotykalne, lub słyszalne.

Kontakty między ludźmi zostały zredukowane do minimum mechanicznych, „nic nie znaczących" gestów i odruchów. Dialogi w „Powiększeniu" odgrywają znikomą rolę. Całe partie filmu są nieme. Słowo przestało być bowiem narzędziem porozumiewania się, narzędziem kontaktów międzyludzkich. Wypowiedzi bohaterów są stereotypowe, pozbawione znaczenia. Ich zachowanie określone jest nie pobudkami wewnętrznymi, ale impulsami zewnętrznych okoliczności. Wystarczy, żeby Thomas kazał swej modelce Weruszce wykonać kilka potrzebnych mu do zdjęcia póz i gestów, aby wpadła ona w trans erotyczny. To samo dzieje się z dziewczętami, które przychodzą do pracowni fotografa w nadziei zrobienia kariery modelki. Nawet akt miłosny sprowadzony został do swych zewnętrznych tylko przejawów.

Na próżno szukalibyśmy w świecie bohatera Antonioniego śladu jakichś tęsknot, pasji, autorefleksji. Thomas żyje chwilą. Jego uwaga nie zatrzymuje się nazbyt długo ani na przedmiotach ani na osobach. Jego dzień wypełnia szczelnie ruch i działanie. Poza tym jest pustka. Nie ma w tym filmie owych znamiennych dla poprzednich dzieł Antonioniego momentów zamyślenia nad sobą i światem, owych „martwych czasów", w których pozornie, zewnętrznie nic się nie dzieje, owych wędrówek bohaterów w poszukiwaniu samych siebie. Wszystko co robi Thomas jest funkcjonalne. Nawet w chwilach wolnych od zajęć fotografuje. Świat istnieje dlań tylko po to, by można go było fotografować. Jedynym autentycznym motorem jego działania jest ciekawość fotografa, który każde wydarzenie, każdego człowieka przeobraża w obiekt dla swego aparatu i który wierzy, że całą rzeczywistość można zarejestrować na światłoczułej taśmie.

Ów magiczny aparat fotograficzny notuje przypadkowo morderstwo, którego Thomas był świadkiem i którego nie widział. Wiedziony zawodową ciekawością młody fotograf zaczyna badać sprawę, ale nie potrafi niczego wyjaśnić. Znika tajemnicza dziewczyna, znikają zdjęcia, i ginie też trup z parku. Właściwie jakby się nic nie stało, a przecież ktoś został zamordowany. W ostatniej sekwencji filmu, Thomas obserwuje grupę mimów grających w tenisa bez piłeczki. I w pewnym momencie, gdy niewidzialna piłka wypada poza ogrodzenie kortu, po chwili wahania podnosi ją i odrzuca. Po raz pierwszy nasz bohater dopuszcza istnienie czegoś, co nie da się ani zobaczyć ani dotknąć. Miast nieodłącznego trzaśkania aparatu fotograficznego słyszymy uderzenia niewidzialnej piłeczki. W spojrzeniu Thomasa błyska nagle coś bardzo ludzkiego. W tej sekwencji dochodzi do głosu nie tylko Antonioni moralista, ale i Antonioni filmowiec. „Powiększenie" jest bowiem także głosem w dyskusji nad naturą i wartością kina. Fellini w „8 i pół" poddaje w wątpliwość treści, jakie ma do przekazania współczesny artysta. Antonioni poddaje w wątpliwość mit kameryoka, cudownego narzędzia do odkrywania i rejestrowania rzeczywistości. Kamera może zarejestrować tylko pozory, powierzchnie wydarzeń, których istota wymyka się jej widzeniu. Antonioni podważa zatem wartość kina faktu, kina obserwacji, tzw. kina prawdy.

W świadomości Thomasa posiany został niepokój. Ten niepokój, jaki towarzyszył innym bohaterom Antonioniego. I dlatego zapewne sekwencja finałowa najbardziej przypomina dawniejsze dzieła mistrza. Być może po raz pierwszy nasz modny fotograf dostrzegł pustkę tkwiącą za barwnym kalejdoskopem wydarzeń, wypełniających jego dotychczasowe życie. Być może owa dziwna zabawa mimów pozwoliła mu poza powierzchnią tego widzialnego świata, który dotąd uważał za jedynie możliwy, przeczuć ów nieuchwytny a przecież najistotniejszy dla człowieka świat znaczeń.

Doskonale przystosowany, o nowej świadomości i moralności, ulepiony na obraz i podobieństwo cywilizacji, w której żyje, nasz bohater, mimo całej swej sympatyczności, ma w sobie coś przerażającego. Wizja świetlanej przyszłości naszej planety zaludnionej podobnymi stworami wydaje się bardziej apokaliptyczna, niż inwazja potworów z Marsa. „Powiększenie" jest zapewne najbogatszym, najgłębszym i niestety, najsmutniejszym, mimo w zasadzie optymistycznego zakończenia, filmem Antonioniego.

PS. O innych filmach Konfrontacji napiszemy niebawem.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Wchodzący na nasze ekrany film J. Logana pt. „PRZYSTANEK AUTOBUSOWY" jest jeszcze jednym przykładem tego, jak chętnie producenci Hollywoodu podejmują się adaptacji sztuk teatralnych, których sukces potwierdzony został przez publiczność odwiedzającą teatry na Broadwayu. Gwarantuje to bowiem w większości przypadków sukces zwielokrotniony.

Logan po dwudziestoletniej reżyserskiej pracy w teatrze, rozpoczął swą filmową twórczość właśnie od adaptacji sztuki wcześniej przez siebie na Broadwayu reżyserowanej. Był nią znany u nas „Piknik". Jego drugim filmem jest „Przystanek autobusowy", który w przeciwieństwie do „Pikniku" w małym stopniu ujawnia swe pierwsze sceniczne wcielenie. Sądzić należy, że teatralny pierwowzór zyskał na atrakcyjności, gdy pozwolono widzom odbywać wraz z bohaterami autobusową podróż, w czasie której można podziwiać wspaniały, zmienny krajobraz stanu Montana, gdy dano im również możliwość uczestnictwa w emocjach walk rodeo, które są celem tej podróży.

Niewątpliwym śladem teatralnej przeszłości zarówno reżysera, jak i realizowanego przezeń scenariusza, jest przerysowanie sylwetki głównego bohatera — nieokrzesanego, prowincjonalnego cowboya Bo Deckera (Don Murray). Grzeszy Murray zbyt dosłowną interpretacją tego, co miało być żywiołową spontanicznością nieobytego chłopaka z dalekiego rancha w Montanie.

Zupełnym przeciwieństwem aktorstwa Murraya jest w tym filmie Marilyn Monroe, która przed laty rolą Cherie udowodniła publiczności, że jest nie tylko uosobieniem sexu, ale i świetną, inteligentną aktorką. Gra Monroe w filmie Logana szansonistkę w trzeciorzędnym lokalu. Jej marzeniom o karierze w Hollywood stanie w poprzek upór młodego cowboya, który upatrzywszy w niej „anioła", z którym ma spędzić resztę życia, robić będzie wszystko (z łapaniem na lasso włącznie), by wsadzić ją do autobusu jadącego do jego rancha. W tej śmiesznej i lirycznej jednocześnie opowieści Monroe demonstruje swe talenty komediowe i dramatyczne. Tę błahą rolę prowadzi znakomicie, jest taką jak zobaczono ją wówczas, gdyż już nic więcej zagrać nie mogła. Jest piękna, delikatna, krucha, pełna wewnętrznego niepokoju i otoczona blichtrem, którego miarą długo ją sądzono.

EWA NURCZYŃSKA

STUDENCKA MELPOMENA

Dalszy ciąg ze str. 7

nowie sami nie zgłaszają konstruktywnych propozycji. W przeciwieństwie do „Pstrąga", obserwuję młody i mało jeszcze znany zespół „Huśtawka". Pierwszy ich program oparty na własnych tekstach był bardzo niedobry i słusznie nie doczekał się nawet premiery. Dwa następne to były już adaptacje, aczkolwiek z własnymi piosenkami. Ich przedstawienia są coraz lepsze. Mają ogromny zapał, dyskutują, wciąż coś poprawiają, ulepszają. Zespół stanowi przedmiot ich dumy i ambicji. Zapewne ich postawa jest inna niż dawniej, nie chcą niczego burzyć ani protestować. Chcą zrobić teatr — ciekawy, nowy, poszukujący

WOJCIECH BOCZKOWSKI: To dobrze, że młodzież jest pełna entuzjazmu i dyskutuje nad własnymi programami. My robiliśmy to samo. Dajmy im swobodę i pozwólmy działać. Nie nasyłajmy na nich starych, doświadczonych repów. Nie wolno dopuścić żeby dzisiejsza młodzież pracowała na obraz i podobieństwo nasze i pod dyktando nasze. W ten sposób nigdy nie dochowamy się prawdziwej zmiany warty. To dotyczy także i „Pstrąga". W Łodzi istnieje obecnie 11 zespołów, ale nie czujemy zupełnie ich obecności. Dawniej teatr studencki kształtował oblicze kulturalne miasta. Jego spektakle były wydarzeniami artystycznymi. Waliło się na nie drzwiami i oknami, przyjeżdżali goście z innych miast, przychodziła elita kulturalna i lud. Dziś ruch studencki ożywa w trakcie festiwali krajowych lub zagranicznych.

JAN JAKUBISZYN: Rzeczywiście, nawet najpoważniejsze zespoły grają od przypadku do przypadku. Nie ma stałych spektakli.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Ktoś kto przyjeżdża do Łodzi, biorąc gazetę do ręki, nie domyśli się nawet, że istnieją tu teatry studenckie. W Warszawie natomiast wiadomo, że STS, wprawdzie inny od STS-u lat pięćdziesiątych, gra kilka razy w tygodniu. Ludzie tam chodzą i należy to nawet do dobrego tonu.

MARIAN GLINKOWSKI: Pomówmy o tym jak jest w Łodzi. Istotną przyczyną braku popularności teatrów studenckich jest brak bezpośrednich kontaktów z widzami. Myśmy od początku naszego istnienia, tzn. od lat czterech, założyli konieczność utrzymywania stałego kontaktu z publicznością. Podobnie postępuje „Huśtawka". Dyskusje z widzami są ważne z wielu przyczyn, m. in. dlatego, że tylko teatr studencki może sobie pozwolić na zmiany i poprawki. I my pod wpływem rozmów z publicznością staramy się udoskonalać nasz program. Jeśli chodzi o problem nowych kadr, to na podstawie mego doświadczenia w „Pstrągu" sądzę że: 1) nie daje im się należytego przygotowania do pracy w teatrze, 2) nie okazuje im się zaufania, traktując ich propozycje z pobłażliwą wyższością. Powoduje to stałe rozdrabnianie się zespołów. Powstają ciągle nowe, a to chyba zjawisko niezdrowe. Ostatni przegląd grudniowy dowiódł raz jeszcze, że obecnie preferuje się spektakle o charakterze widowiskowym z bogatą wystawą. Warto więc poważnie zastanowić się nad tym czy powinno istnieć tyle zespołów z tak małymi środkami finansowymi, zespołów, które nie mają wzajemnych kontaktów i właściwie prawie się nie znają.

RYSZARD CZUBACZYŃSKI: Myślę, że proces zmiany warty wymaga kontroli ze strony zespołów, Rady Uczelnianej albo Rady Okręgowej ZSP. Nie można bowiem dopuścić do sytuacji w jakiej znalazła się „Stodoła", której szyld znaczył przecież coś w ruchu studenckim. „Stodoła" to był wszakże tak ongi dyskutowany „Król Ubu".

WOJCIECH BOCZKOWSKI: I w gruncie rzeczy tylko to. „Stodoła" zawsze preferowała jazz, zabawę, rozrywkę — czego zresztą nie mam jej wcale za złe.

RYSZARD CZUBACZYŃSKI: Ale ze „Stodoły" wyszło kilku ciekawych ludzi. Program zaprezentowany przez nią podczas grudniowych spotkań był żenujący: tekstowo, inscenizacyjnie i aktorsko. Nie było w tym ani zabawy ani świeżości. Aktualny zespół „Stodoły" jest zespołem młodym, studenckim. Czegoś tu więc nie dopatrzono. Jak ma się zatem odbywać owa zmiana warty?

JAN JAKUBISZYN: Zasadniczą sceną „Stodoły" jest scena dramatyczna, która przywiozła do Łodzi „Jasełka moderne". Kabaret powstał niedawno i scena dramatyczna odżegnuje się od tego chybionego tworu.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Niezależnie od naszych recept proces zmiany warty potoczy się własnym torem. Odbywa się on nieustannie I Ryszard, i Janusz, i Glinkowski należeli kiedyś do „Pstrąga", a teraz mają własne zespoły. Obecny kryzys teatrów studenckich w Łodzi: to: 1 — sprawa ludzi, 2 — brak sprecyzowanego credo artystycznego.

RYSZARD CZUBACZYŃSKI: W „Pstrągu" ostatnia regularna zmiana warty nastąpiła przed pięciu laty.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Przeprowadzono wtedy nabór nowych ludzi do starego „Pstrąga", który miał swój zespół i swój repertuar. A co teraz będą robić ewentualni nowi członkowie, bo wierzę, że tacy mogą się znaleźć. Aktor sam nie tworzy teatru, musi mieć repertuar, teksty, propozycje.

JAN JAKUBISZYN: My dobrze wiemy o istnieniu trudności repertuarowych. Próbujemy zatem pomóc naszym teatrom zwłaszcza mniejszym. Stworzyliśmy przy Komisji Kultury RO ZSP Radę Artystyczną składającą się z ludzi przeważnie młodych, sympatyzujących z ruchem studenckim, a zajmujących jakąś pozycję w życiu kulturalnym miasta. Ta Rada już działa. Porozumieliśmy się z Kołem Młodych ZLP, chodzi nam zarówno o teksty własne jak i propozycje adaptacji. W ten sposób uzyskamy zaplecze tekstowe. W marcu chcemy zorganizować pierwszy łódzki przegląd teatrów studenckich. Umożliwi on z jednej strony nasze wzajemne poznanie się i konfrontacje, z drugiej zaś ujawni miastu nasze istnienie i nasze propozycje. Być może, dzięki temu uda nam się zorganizować system regularnych występów. Małe zespoły grają na peryferiach, w osiedlach akademickich i trudno do nich dotrzeć. Mamy nadzieję, że po tej prezentacji kierownictwo „Pstrąga" i „Cytryny" udostępni swe sale mniej znanym zespołom.

JAN KWAPISZ: Możliwość występów w centralnych salach stanowić będzie bodziec dla tych zespołów, pozwoli im na kontakt z szerszym środowiskiem, gdyż jak dotąd działają one w bardzo ograniczonym kręgu, a to jest niezdrowe. Zespoły nie interesują się życiem miasta i na odwrót. Dzięki inicjatywie Rady Okręgowej sytuacja ta może ulec radykalnej zmianie.

MARIAN GLINKOWSKI: Mówimy ciągle, że istnieje kryzys łódzkich teatrów studenckich. Nie podzielam tej opinii, mimo że nie mamy takich warunków i rezultatów, jak Wrocław, lub Lublin. Zaobserwowałem kilkakrotnie, że łódzkie teatry mają dużo do powiedzenia, że ich programy są próbą dyskusji na temat naszego miejsca w świecie. W innych teatrach sprawy współczesne tkwią raczej w podtekstach. Prasa pozałódzka chwaliła nas właśnie za to zaangażowanie w sprawy współczesności. Nasze programy są zapewne mniej efektowne i nie umiemy ich dobrze sprzedać. Nie mamy poparcia prasy, radia i TV. Prasa łódzka nas ignoruje. Wysyłamy stale zaproszenia na premiery, a przychodzi tylko przedstawiciel „Dziennika Łódzkiego", a dopiero ostatnio i „Głosu".

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Oprócz redaktorów naczelnych należy zapraszać także i konkretne osoby, które piszą na te tematy.

JAN JAKUBISZYN: Nawiązaliśmy już kontakt z radiem i telewizją i mamy nadzieję, że sytuacja ta ulegnie poprawie. Zamierzamy publikować dużo informacji dotyczących środowiska studenckiego, w ogóle, a problematyki kulturalnej w szczególności.

JAN KWAPISZ: Mamy w sumie wcale niezłe zespoły. „Misterium Buffo" graliśmy w ośmiu miastach poza Łodzią, a w Łodzi tylko kilka razy, ponieważ publiczność łódzka nie interesuje się nami.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Zaplecze materialne teatrów studenckich, to sprawa osobna. Wspomina się ciągle przykład „Kalambura". Nie bez znaczenia jest tu klimat kulturalny miasta, zasobność Rady Narodowej itd. We Wrocławiu jest mało teatrów. Wrocław chce sobie stworzyć zaplecze kulturalne, przyjął przecież pod swój dach Teatr Grotowskiego. „Kalambur" stanowi więc potrzebną placówkę i dlatego otrzymał wysokie dotacje. Chodziło o zabezpieczenie egzystencji grupie ludzi, którzy mogą przyczynić się do rozwoju życia kulturalnego miasta. Łódzkim teatrom zapewne się nie przelewa, ale gdyby były dobre programy, to znalazłyby się i pieniądze. Weźmy przykład „Pstrąga". Działają tam ludzie pełni zapału, marzący o zrobieniu czegoś co wstrząsnęłoby miastem, ale nie potrafią znaleźć właściwej drogi. Dziwią się, że „Pchła" nie zrobiła odpowiedniego wrażenia, zapominając, że wystawiono ją już w 1963 roku.

JAN KWAPISZ: Być może moje stanowisko jest odosobnione, ale wydaje mi się, że pieniądze dla teatru studenckiego nie są sprawą pierwszorzędnej wagi. Tam gdzie zaczynają się pieniądze, kończy się ruch amatorski. Praktyka dowodzi, że zespół bez zaplecza materialnego, a czasem i własnej sali pracuje z większym entuzjazmem i osiąga znacznie ciekawsze rezultaty. Zaplecze materialne i jego konsekwencje nie tylko wpływają ujemnie na postawę członków zespołu, ale wymagają rozbudowania aparatu administracyjnego. Zanika klimat poszukiwań. Atmosfera cieplarniana wpływa też fatalnie na nowe kadry, które akceptują istniejący stan rzeczy, o nic nie walczą i do niczego nie dążą.

JAN JAKUBISZYN: Nie aprobuję postawy Wojtka: zróbcie dobry program, a my wam pomożemy. Sądzę, że w przypadku teatrów już sprawdzonych, należy okazać pewien kredyt zaufania. Nie chodzi nam tylko o pomoc finansową. Uważam, że brak zaplecza finansowego wpływa ujemnie na działalność teatrów studenckich. „Kalambur" otrzymał dotacje wrocławskiej Rady Narodowej, której wysokość (400 000 zł) jest dla nas zawrotna. „Pstrąg" może otrzymać od nas dziesięć razy mniej i to wystarcza na czynsz i światło. A za co robić program? Na owa osławiona „Pchłę" przypadło 3 tys. zł.

WOJCIECH BOCZKOWSKI: Nie zgadzam się z Jankiem co do roli czynników materialnych. Przecież zinstytucjonalizowanie „Pstrąga" było początkiem jego końca — mogę to udowodnić. Jak długo „Pstrąg" był hołubiony przez ówczesnego rektora Szczepańskiego, przez ZPB im. Marchlewskiego i Związek Wędkarzy, dopóki siedziało się jak na wulkanie, to był entuzjazm, byli ludzie i programy, była publiczność. Na ulicy Wólczańskiej zbudowaliśmy budzące powszechny zachwyt zaplecze techniczne. I cóż się okazało? Zaplecze było lepsze niż to co się działo na scenie. W grę wchodziły tu oczywiście i inne czynniki, ale zbieżność nie była przypadkowa. Na Wólczańskiej pokazaliśmy jeszcze kilka dobrych programów, ale to był naprawdę początek końca. Najważniejsi są więc ludzie, zapał, idee, atmosfera, a nie pieniądze.

JAN JAKUBISZYN: W Łodzi istnieje około 11 zespołów i zwłaszcza te małe borykają się z poważnymi trudnościami. Radom Uczelnianym nie starcza już na ich dotowanie. Rada Okręgowa też nie ma funduszów. W tej sytuacji pomóc powinni chyba ojcowie miasta.

RYSZARD CZUBACZYŃSKI: Dyskusje o teatrach studenckich należy oczywiście zaczynać od propozycji artystycznych, ale przy obecnej orientacji rozwojowej tych teatrów, pieniądze są konieczne. Bez odpowiedniego zaplecza materialnego nie do pomyślenia byłaby realizacja takich spektakli, jak „Za", „Elżbieta Bam", „Futurystykon".

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Atelier.

Plaża.

PLAŻE BERNARDA BUFFETA

■ Znany malarz francuski co roku wystawia swe obrazy, przy czym za każdym razem jest to jakaś określona tematyka. W tym roku Buffet eksponuje płótna, których tematami są: plaża bretońska i atelier malarskie. Buffet uważa się za malarza figuratywnego. Krytyka podkreśla jednak, że właściwie przedmioty i ludzie na płótnach Buffeta są jedynie pretekstem, są to raczej abstrakcyjne kompozycje. Plaża, jaką pokazuje Buffet jest pełna ludzi, ale odnosi się wrażenie, że jest ona całkowicie pusta. Malarza interesują linie, kompozycja płaszczyzny. Ciała ludzi to przede wszystkim element abstrakcyjnej kompozycji powtarzających się rytmicznie akcentów formalnych, linii i płaszczyzn. Ludzkie ciała podlegają tu znacznej deformacji. Oto np. noga, jeśliby ją zmierzyć, miałaby dwa metry długości, plecy tworzą przedziwną arabeskę, łączącą się z innymi elementami obrazu, siatką czy parasolem. Rozrzucone zabawki, parasole itp. niefunkcjonalne w treści obrazu, tłumaczą się konstrukcją całości dzieła. Również płótna zatytułowane ogólnie jako „Atelier" są raczej abstrakcyjnymi kompozycjami, i jak niektórzy krytycy twierdzą, ciekawszymi niż „Plaża".

SZTUKA LOKATĄ KAPITAŁU?

■ Szwajcarski dziennik „Journal de Genéve" omawia książkę Horsta Wagenführa pt. „L'art, valeur de placement" („Sztuka jako wartość lokaty"). Autor omawia dość wnikliwie handlowy aspekt sztuki na podstawie stosunków panujących na Zachodzie. Dziś obrazy i rzeźby są tam traktowane jako pewniejsze lokaty kapitału niż inne walory. Autor książki zastanawia się kiedy obraz staje się wartością handlową. Taką wartością staje się dzieło sztuki w momencie kiedy oferowane jest do sprzedaży. Co wyznacza tę wartość? Gusty epoki — odpowiada autor, przy czym walory artystyczne nie są decydujące. Na ogół dzieło sztuki staje się wartością handlową jedynie przez krótki czas, póki nie zostanie zakupione przez muzeum, skąd dalej nie jest już sprzedawane. Czyli, że jego egzystencja jako obiektu rynkowego trwa dość krótko.

Kto kupuje dzieła sztuki? Nabywcy dzielą się na trzy zasadnicze kategorie: amatorów, kolekcjonerów i ludzi lokujących w obrazach kapitał. Aby jakieś dzieło osiągnęło wysoką cenę nie wystarcza, że wyszło spod pędzla tego lub innego słynnego malarza. Musi być charakterystyczne dla danego stylu i epoki, i reprezentować temat, który w danym okresie był uprzywilejowany. Ważna też jest sprawą z jakiego okresu twórczości danego mistrza dzieło pochodzi. Nie mniej ważne jest co obraz przedstawia. Posłużmy się przykładem. Oto w roku 1956 w Londynie wystawiono na sprzedaż cztery portrety członków pewnej rodziny. I choć wszystkie obrazy wyszły spod pędzla jednego i tego samego malarza i choć walory artystyczne tych płócien były takie same, ceny ich były różne. Portret dziewczynyy sprzedano za 780 funtów, syna za 155, matki za 80 funtów, a ojca za 75.

ODKRYCIE FRESKU HOLBEINA?

■ Przy pracach konserwatorskich prowadzonych w kościele św. Piotra w Lindau w Austrii odkryto szereg fresków, które najprawdopodobniej są dziełem Hansa Holbeina starszego.

NOWA SZTUKA ALBERTO MORAVII

■ Premiera nowej sztuki włoskiego pisarza Alberto Moravii pt. „Bóg Kurt" odbędzie się na jesieni bieżącego roku w Teatro Stabile w Rzymie. Zapytany o treść sztuki, Moravia odpowiedział, że będzie to niejako teatr w teatrze. Akcja dzieje się podczas okupacji niemieckiej w Polsce, na terenie jednego z obozów koncentracyjnych. Komendant obozu zabawia się wystawianiem sztuki Sofoklesa „Edyp". Okrutna to zabawa, gdyż aktorzy-więźniowie giną podczas gry. Rolę Edypa, Jokasty i Lajosa grają członkowie tej samej rodziny.

„RAMAJANA" W RADIU FRANCUSKIM

■ Ostatnio radio francuskie w programie France-Culture nadało długą, eksperymentalną audycję — staroindyjski poemat „Ramajanę". Utwór ten jak wiadomo, obok równie starego poematu „Mahabharata", jest klasycznym dziełem literatury indyjskiej, które wywarło ogromny wpływ na całą sztukę, wierzenia i pojęcia mieszkańców Indii. Przypuszczalnym autorem epopei, powstałej między III w p. n. e., a IV w. n. e., jest Walmihi. „Ramajana" opowiada o przygodach legendarnego księcia Ramy, małżonka pięknej i cnotliwej Sity. Zły demon Rawana porywa księciu żonę i więzi ją w swym pałacu. Książę Rama zbiera wojowników, zdobywa pałac, pokonuje demona i odzyskuje swą piękną żonę. Nie będąc jednak pewnym czy nie uległa ona żądzom demona, nie przywraca jej do swych łask. Zrozpaczona Sita wstępuje na płonący stos, ale ogień jej nie tknął. Jest to oczywisty dowód, że dochowała wierności mężowi. W Indii „Ramajana" jest zazwyczaj widowiskiem, w którym tekst jest śpiewany i gdzie występują aktorzy mimiczni, tancerze i chór, który odgrywa znaczną rolę.

NOWA KSIĄŻKA GEORGESA SIMENONA

■ „Czyż jest krytyk, który mógłby powiedzieć, że omawiał wszystkie książki Simenona?" — pyta recenzent dziennika „Le Figaro". Z pewnością nie. Nikt nie może nawet stwierdzić, że wszystkie książki tego pisarza zdołał przeczytać. Ostatnio ukazała się nowa powieść Simenona pt. „Le Déménagement", której treścią są perypetie związane ze sprawami mieszkaniowymi. Bohaterzy powieści to para małżeńska Emil i Blanche, spokojne małżeństwo w średnim wieku, posiadające czternastoletniego syna. Mieszkają w staroświeckim domu wśród staroświeckich mebli, ale pewnego razu postanawiają przeprowadzić się do nowej podmiejskiej paryskiej dzielnicy i zamieszkać w nowoczesnym, świeżo wybudowanym bloku mieszkaniowym, gdzie balkony są pełne kwiatów, a mieszkania pełne światła. Ale życie w nowym bloku, niestety, nie jest takie, jak sobie wymarzyli. Naokoło domu jest błoto, nie ułożono jeszcze trotuarów, wprawdzie zaraz za domem jest ścieżka, która prowadzi na pola gdzie rośnie zboże i czerwienią się maki, ale za to w pobliżu bloków mieszkaniowych nie ma sklepów. Prawdziwą zaś udręką lokatorów są tak cienkie ściany, że sąsiedzi słyszą absolutnie wszystko co się dzieje i o czym się mówi za ścianą. I oto nowe mieszkanie, o którym tak marzyli Emil i Blanche, zmienia całkowicie ich życie. Spokojny ojciec rodziny zostaje pijakiem i hulaką, którego znajdą pewnego dnia, podziurawionego od kul, leżącego na trotuarze przy Champs-Elysées.

LINORYTY DAGESTAŃSKIEGO ARTYSTY

Jeden z ostatnich numerów radzieckiego tygodnika „Litieraturnaja Rossija" przynosi na pierwszej stronie kilka interesujących linorytów młodego artysty dagestańskiego Murtuza Mahomedowa.

Bez strachu

OKRĘT Z PORCELANY

Mam zamożnego przyjaciela — mieszka w Warszawie. Znamy się od... im bardziej wzrasta zamożność mojego przyjaciela, tym bardziej wydłużam okres naszej znajomości. W tej chwili skłonny jestem mniemać, że poznałem go w chwili gdy przyszedłem na świat. Odwiedziłem mojego przyjaciela w jego znakomitym stołecznym mieszkaniu — wypoczywał właśnie wśród gęstwy wykwintnych futer, pledów, obstawiony wybornymi fotelami, starożytnymi mebelkami, których nie potrafię nazwać. Przywitał mnie leżąc, w ubraniu — nie był to jednak brak szacunku lecz wyraz ogromnego zmęczenia. Tak bardzo jest wyczerpany i przeprasza mnie właśnie wytwornie bezbronnym uśmiechem, i zastanawia się czy jest chory, czy tylko niezwykle zmęczony. Pomyślałem, że mój bogaty przyjaciel jest niezmiernie osłabiony swoją zamożnością i odczułem dla niego litość. W następnej chwili potępiłem sam siebie za to odczucie, za to mianowicie, że go obrażam litością zamiast pozazdrościć jego zamożność. On zresztą jakby odczuwając mój złożony stan psychiczny, otrząsnął się ze znużenia i poczęstował mnie herbatą. Piliśmy z porcelanowych filiżanek dolewając sobie z porcelanowego dzbanka. Mój przyjaciel wymienił nazwę porcelany — nazwa ta nic mi nie mówiła, - nic bowiem nie wiem o porcelanie — nie potrafię jej nawet odróżnić od fajansu. Gospodarz począł wydobywać z kredensu niezliczone filiżanki, spodeczki, dzbanuszki. Niektóre nazwy wymieniał przyciszonym głosem z rodzajem głębokiego uwielbienia. Siedziałem zupełnie nieruchomo, aby nie potłuc porcelany, którą byłem już ciasno otoczony. Z trudnością dostrzegałem przez szczelinę w stosach porcelany fragmenty jego postaci z nowym dzbankiem w ręku. Wtedy przypomniałem sobie stare podanie o obłąkanym cesarzu chińskim. Cesarz kochał porcelanę, bardziej niż ludzi, bardziej niż samego siebie. W jego pałacach ustawiono porcelanowe meble, porcelanowe naczynia. Potem przystąpiono do budowania pałaców z porcelany. Ogrody zdobiły porcelanowe smoki ożywiane chińskim ogniem. Obłąkany cesarz był nienasycony. Pragnął budować porcelanowe miasta, porcelanowe porty. Wreszcie opanowała go myśl posiadania okrętu z porcelany, prawdziwego okrętu zdolnego do żeglugi. Otóż okrętu takiego nikt nie potrafił zbudować. Porcelana okazała się budulcem zbyt ciężkim i zbyt kruchym. Zaciętość cesarza pogłębiała się — stał się okrutny, począł dręczyć i niewolników i dworzan — wreszcie zginął tonąc na porcelanowym wraku. Nigdy nie potrafiłem wzbudzić w sobie antypatii do tego cesarza. Imponował mi jego gigantyczny i subtelny zarazem obłęd — obłęd poety. Wyrzucałem sobie, że rozgrzeszam cesarza nawet ze srogości, jaką okazywał otoczeniu w ostatnich chwilach życia. Ostrożnie wstałem i wyszedłem z porcelanowego gniazda. Uderzyła mnie panująca w mieszkaniu cisza. Mój przyjaciel spał w ubraniu rozciągnięty na swoich futrach. Usnął nagle w sposób, którego sam nie przewidywał — tak zasypiają nieludzko zmęczeni. Stałem nad nim i myślałem jak straszliwie ciężka musi być jego praca. Jak można mu pomóc? O jego pracy wiem jeszcze mniej niż o porcelanie. Poczułem, że jestem słabym nie zaradnym człowiekiem — dzieckiem bardzo biednych ludzi — w moim mieszkaniu nie było chyba przedmiotu, który wart byłby więcej niż pięćdziesiąt złotych. Gardziłem sam sobą za swoją nieużyteczność. Stałem ciągle nad śpiącym i czekałem aż mój bogaty przyjaciel obudzi się — zapytam go wtedy, jak można mu pomóc w jego robocie — na pewno potrafi mi powiedzieć. Oglądałem twarz śpiącego — była blada jak porcelana.

BERNARD SZTAJNERT

Tele-obiektyw

ARCHIMEDES

Starożytny mędrzec z Syrakuz, który dokonawszy odkrycia naukowego w kąpieli wybiegł z okrzykiem „Eureka!" nago na ulicę, symbol triumfu samodzielnego myślenia, stał się patronem najpopularniejszego chyba programu popularnonaukowego naszej telewizji. „Plebiscyt Archimedesa" zaraził już kilkakrotnie atmosferą namiętnej dyskusji setki tysięcy telewidzów, jeżeli przyjąć, że przecież tylko niektórzy decydują się na czynny udział w głosowaniu.

Ostatni plebiscyt, nadany 25 lutego, dotyczył trzech wielkich postaci baroku: Szekspira, Rembrandta i Kartezjusza. Na jego marginesie chciałbym scharakteryzować ten cykl programowy.

Zacznijmy od tego, że „Plebiscyt Archimedesa" niesie z reguły sporo informacji o wybitnych postaciach historycznych. Autorzy programu starają się przy tym dać ich współczesną interpretację, pozostawiając jednak telewidzom szerokie pole do własnych ocen i przemyśleń.

Samą więc ideę plebiscytu uznać należy za szlachetną i pouczającą. Udało się również autorom utrafić w tonację właściwą, w miarę obiektywną i w miarę emocjonującą. Dzięki temu plebiscyt przyjmuje się bez oporów, jakie zwykły budzić programy dydaktyczne i pouczające.

Wpływa na to z pewnością odpowiedni dobór adwokatów, którymi są na ogół wybitni znawcy zagadnienia. Rzadko zaś rzetelna wiedza uderza w tony pouczania i „besserwisserstwa".

Wybór adwokatów nie jest rzeczą prostą. Z doświadczenia kilku plebiscytów wiemy, że nie wszyscy uczestnicy dyskusji angażują się emocjonalnie w równym stopniu. Nie bez znaczenia jest tu zapewne temperament poszczególnych rozmówców. Ci z nich, którzy przemawiają z przejęciem i sugestywnie, skuteczniej reprezentują interesy swoich „klientów".

W ostatnim plebiscycie wrażenie najbardziej zaangażowanego sprawiał obrońca Descartesa — dr Janusz Kuczyński. Przekonanie, z jakim dowodził wszechobecności idei kartezjańskiej w naszym współczesnym życiu, wyraźnie kontrastowało z chłodnym intelektualizmem Konstantego Puzyny, który reprezentował racje Szekspira.

Stosunkowo najtrudniejszą rolę ma prof. Konstanty Grzybowski, który w roli prokuratora często czuje się jak advocatus diaboli, rzecznik racji, do których sam nie ma przekonania.

Przy tych wszystkich zastrzeżeniach, uważam dyskusję między prokuratorem i adwokatami za najcenniejszą część plebiscytu. To ona zmusza do myślenia i wartościowania, powoduje, że atmosfera szlachetnego spierania się wykracza poza ramy studia TV, przedłuża się na wiele tysięcy mieszkań w Polsce.

Natomiast przygotowanie artyleryjskie poprzedzające dyskusję budzi liczne wątpliwości.

A więc najpierw krótkie życiorysy, utrzymane w tonie panegiryku. Mają one niewątpliwą wartość popularyzującą, ale przyjmować je należy z zastrzeżeniami. Jak niewiele na przykład wiedzy o Szekspirze wynika z jego biografii! Tym bardziej, że roi się w niej od białych plam. Mark Twain twierdzi dowcipnie, że życiorys Szekspira przypomina brontozaura w muzeum nowojorskim: trochę kości i tona gipsowych rekonstrukcji.

Dosyć bałamutne są natomiast sceny historyczne, które dostarczyć mają telewidzom w ich sądach dodatkowych elementów. Czy istotnie scenki pióra Andrzeja Kamińskiego pomagały zgłębić trzy wielkie postaci baroku?

W pierwszej scenie zastępuje Szekspira jego kukiełka w rękach lorda Pembroke. Rozmowa Pembroke'a z Mary Fitton, jego późniejszą kochanką, nawiązuje do jednej z hipotez powstania „Sonetów" Szekspira, ale o samym pisarzu mówi niewiele. Scena procesu, jaki wytoczył bogaty kupiec Rembrandtowi, stawia niderlandzkiego mistrza w niezręcznej sytuacji rzecznika własnej wielkości; brzmi to nieskromnie i nienaturalnie. Wreszcie scenka z życia Kartezjusza, w której uczony wykupuje od szantażysty własny list wychwalający Galileusza, wnosi również mało w ocenę wielkiego filozofa i matematyka.

Słowem fikcja literacka, mająca wzbogacić postaci historycznych kolosów o cechy ludzkie, w wypadku ostatniego plebiscytu zawiodła na całej linii. O ile więcej wniósł w tym zakresie dr Kuczyński, sypiąc jak z rękawa anegdotami z życia Kartezjusza! Szkoda, że podobnie nie postąpili w stosunku do swoich „klientów" Szymon Kobyliński i Konstanty Puzyna.

Słów krytyki pod adresem ostatniego plebiscytu nie wypowiadam w celu podważenia wartości tego programu. Należy on do czołowych pozycji w repertuarze naszej TV. Zapowiedziana przez red. Eugeniusza Pacha świadoma rezygnacja z ilości uczestników głosowania na rzecz pogłębienia opinii i sądów, wskazuje na zdrowe ambicje autorów.

Chodzi bowiem o zamianę mechanicznego plebiscytu w arenę starć ideowych i intelektualnych, korespondujących wyraźnie ze współczesnością. Zamiarom takim można tylko przyklasnąć.

Władysław Orłowski

POLETKO TELE—OBIEKTYWU

Nr 11

COŚ Z FREUDA? Pod tym tytułem nadano program rozrywkowy w dniu 24. II. Z Freuda nic w tym programie pióra T. Kwiatkowskiego nie znaleźliśmy. Z humoru także niewiele.

* * *

FRASZKA. P. Andrzej Paradecki nadesłał frasz-kę napisaną specjalnie dla PTO. Oto ona:

KTO ZABIŁ? — W „KOBRZE"

Ja bym je zaliczył do tych
Pytań za pięćdziesiąt złotych.

* * *

POCZTA PTO. W odpowiedzi „Niezrzeszonym Liliom": Nie udało nam się wywnioskować, czy list Pań ma swe źródło w poczuciu humoru, czy też w braku takowego. PTO woli przyjąć tę pierwszą ewentualność. W takim razie sprawa pozostaje w sferze obustronnego żartu.

W. O.

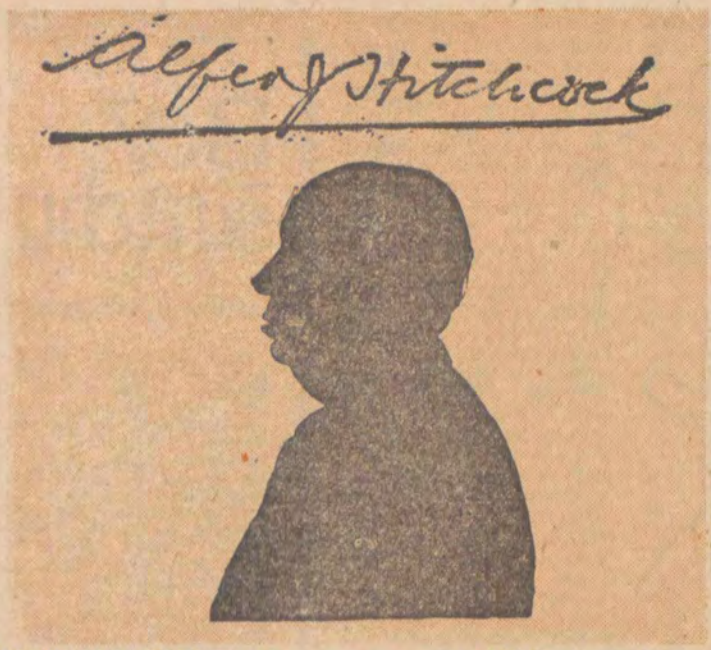

HARRY J. PRESTON

Nie otwieraj drzwi!

Mark Sand spojrzał na zegarek.

Była 5.45.

Długi stół przykryty był białym obrusem, a na nim wazony pełne róż i fiołków. W przeciwnym rogu dwaj kelnerzy przecierali szklanki i kieliszki, przygotowywali butelki z alkoholem i zamrażali szampana.

Podszedł do niego kelner.

— Czy chce pan zobaczyć tort? — spytał.

Mark zwrócił się w tamtą stronę. Górną część tortu ozdobioną różami i weselnymi dzwonkami pokrywał napis: NAJLEPSZE ŻYCZENIA DLA RAIN I DLA GORDONA.

Mark skinął głową z aprobatą. Kelner odszedł.

* * *

Ktoś zadzwonił do drzwi.

5.47.

Po chwili do pokoju wszedł Gordon.

— Cześć, geniuszu! — powiedział do Marka.

— Co tu robisz tak wcześnie? — spytał Mark. — Oh ty, narzeczony!

Gordon uśmiechnął się.

Gordon i Mark byli tego samego wzrostu. Mark był jego chlebodawcą, bo tylko jemu Gordon zawdzięczał dotychczasową karierę modela i wysoką pensję w domu mody Sanda.

— Gdzie jest Rain? — spytał Mark oglądając swoje paznokcie.

— Powiedziała, że zatelefonuje tu, gdy już będzie gotowa — odrzekł Gordon. — Potem pojadę po nią... Mark, chciałbym ci podziękować.

— Za co?

— Za wszystko, co zrobiłeś dla mnie i dla Rain...

Zadzwonił telefon. Mark podniósł słuchawkę.

— Halo! Mark? Tu Rain...

— Tak, słucham, gdzie jesteś?

— Jestem w sali fotograficznej. Zdjęcia się trochę przeciągnęły. Obawiam się, że się nieco spóźnię. A co z Gordonem?

— Właśnie przed chwilą przyszedł.

— Powiedz mu, żeby przyjechał po mnie o siódmej.

— Dobrze...

— No to do zobaczenia. Muszę już pędzić. Jeszcze tylko kilka zdjęć.

Mark odłożył białą słuchawkę telefonu.

— Czy to Rain? — spytał Gordon.

Mark potwierdził skinieniem głowy.

— Jeszcze nie skończyła zdjęć. — I po chwili, bez wahania skłamał po raz pierwszy tego wieczoru. — Powiedziała też żebyś nie martwił się o nią. Przyjedzie taksówką, jak tylko się upora ze swoim strojem.

* * *

6.00.

Gdy przybyli pierwsi goście, Mark skorzystał z okazji i wymknął się niepostrzeżenie do swojej sypialni. Podniósł słuchawkę i szybko nakręcił numer. Słuchał sygnału po drugiej stronie drutu i z niezwykłym spokojem przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze toaletki. Twarz jego odmieniła się. Usta były zaciśnięte, jego oczy płonęły jak w gorączce. Wreszcie coś stuknęło w słuchawce i jakiś głos powiedział:

— Taa...?

— Clancy?

— Taa...

— Mówi Mark Sand. Mam na dzisiaj dla ciebie robotę.

— Dzisiaj? O której?

— Za godzinę.

— Człowieku, co ty?! Mało czasu.

— Będzie jak mówię. Dziś wieczorem! O siódmej. Rozumiesz? Jest sama w domu. Wiesz co masz zrobić?

— Chyba tak.

— Co to znaczy „chyba"? Na pewno musisz to zrobić.

— Dobra, dobra, wiem. Zadzwonię do jej drzwi i powiem, że mam telegram do pokwitowania, a jak otworzy...

— Co wtedy, Clancy? — groźnie spytał Mark.

Głos Clancy'a opadł prawie do szeptu. — Wtedy tym płynem obleję jej twarz.

— Twarz, Clancy, twarz. Tylko twarz, pamiętaj. Chcę by ta twarz była tak zniszczona, aby żaden lek jej nie pomógł, żadna operacja plastyczna tej twarzy nie wskrzesiła...

— Dlaczego jej po prostu nie zabić? — spytał Clancy.

— Rób to, za co ci płacę, i pilnuj tylko swego interesu!

— No już dobra, dobra....

— Pamiętaj. Siódma godzina.

— Taa... Siódma.

Mark odłożył słuchawkę. Poprawił włosy, uśmiechnął się i ruszył w stronę drzwi.

* * *

6.07.

Pokój zapełniał się powoli zaproszonymi gośćmi. Przyjęcie miało się odbyć od szóstej do ósmej. Mark wiedział, że przyjdą prawie wszyscy zaproszeni, był bowiem jednym z najbardziej wpływowych ludzi w świecie mody. A Rain należała kiedyś do niego, była jego tworem, efektem jego siły, zdolności i kunsztu. I teraz tu w tej sali los wielu z tych ludzi spoczywał w ręku Sanda. Przez chwilę Mark patrzył na nich. Dostrzegli go. Cicho się zrobiło. I nagle ruszyli w jego stronę ze słowami powitania.

* * *

6.18.

— Mark, kochanie — powiedziała Andrea Salwyn — chciałabym ci przedstawić moją przyjaciółkę.

Mark zwrócił się w stronę Andrei. Była to czterdziestoletnia kobieta. Wydawała tygodnik „Milady", w którym Mark zamieszczał swoje modele.

Stała przy niej młoda dziewczyna. Susan Madison.

— Oh, Mr Sand, tak chciałam pana poznać — wyszeptała.

— Naprawdę?

Speszyła się.

— No... tak, od dawna o tym marzyłam.

Mark wyjął angielskiego papierosa ze swej złotej papierośnicy. Ktoś rzucił się w pośpiechu do niego z zapaloną zapałką.

— Co pani chce przez to powiedzieć, Miss Madison? Czy może chce pani zostać modelką i w ten sposób zająć miejsce Rain Wallis? Jeżeli tak, to nie mamy o czym mówić, szkoda czasu.

Susan zmrużyła oczy ze złości. — Rzeczywiście. Tylko o to mi chodzi.

— Dobrze, że się pani przyznaje. Ale cenię te ambicje u pani.

— A ja pańskie okrucieństwo!

— To prawda. Ale wszyscy geniusze są okrutni. Proszę o tym pamiętać. A ja jestem geniuszem. Jestem tak wysoko jak nikt z ludzi, którzy są w tym pokoju. I mam wielką siłę, siłę stwórcy...

— Jak Bóg...

— Tak, jak Bóg. Ale posiadam również moc niszczenia moich dzieł — jak da Vinci, który gdyby chciał pociąć „Monę Lizę" na kawałki — mógłby to zrobić. I Michał Anioł mógłby roztrzaskać „Davida" na bezforemne i nic nie znaczące kawałki. I...

Tu Mark przerwał. Spojrzał na zegarek.

Była 6.39.

Wziął podwójną whisky od przechodzącego kelnera. Upijając z kieliszka szedł wzdłuż pokrzykującego, śmiejącego się, pijącego i palącego tłumu. Stanął w oknie z widokiem na Central Park. Rozsunął zasłony. Padał deszcz. Drobny, gęsty deszcz. Noc była ciemna, taka jak rok temu. Wtedy też było przyjęcie i tam wtedy pierwszy raz zobaczył RAIN... I w ciągu jednego roku zrobił z niej znakomitą modelkę, którą dał światu...

* * *

6.55.

Pięć minut.

Już tylko za pięć minut Clancy, ten wynajęty człowiek, oblejie twarz Rain kwasem. Jak strumień ognia spali on i zniszczy jej ciało. Rain Wallis odejdzie i zniknie płacząc i krzycząc. Na zawsze odejdzie.

Mark Sand stał w łazience i znowu spoglądał na swoje odbicie wykrzywione w lustrze.

— Wtedy oddamy Gordonowi to co z niej zostanie. Popioły i zgliszcza.

— Mark, jesteś tam? — krzyknął ktoś szarpiąc za drzwi.

— Tak.

— Telefon do ciebie — powiedział Gordon.

— Dobrze. Zaraz idę.

Potrzebował kilku chwil, aby się uspokoić. Wtedy przekręcił klucz i wyszedł na korytarz.

Dzwonił Clancy.

— No? — zniecierpliwił się Mark. — Co się stało?

— Sand, właśnie ja chciałem o to pana zapytać. Już za trzy siódma, a tej damy jeszcze nie ma w domu.

— Będzie. Czy, aby na pewno jej nie ma?

— Tak. Stoję tu na rogu i mam cały jej dom jak na dłoni... Drugie piętro, tak?

— Tak.

— No właśnie. I ciemno w oknach. Nie pali się. O, jakaś kobieta idzie. To chyba ona. Tak, wchodzi do tego domu.

— Jak wygląda? — spytał Mark szeptem.

— Ciemno, nie widzę, ale to na pewno ona. Spieszy się...

Nagle, zupełnie niespodziewanie Mark po dłuższej ciszy usłyszał okrzyk: — Zapaliły się światła! To ona!

Mark zamarł. Ściskał kurczowo słuchawkę.

— Clancy, ja...

Ale było już za późno. Coś stuknęło po drugiej stronie drutu i otoczyła go cisza.

7.00!

Jak oszalały Mark stuknął w aparat telefoniczny i zaczął nakręcać numer. Wreszcie usłyszał jej głos.

— Halo!

— Tu Mark Sand.

— O, to ty. Cieszę się. Miałam już do ciebie telefonować. Ale zaczekaj, ktoś dzwoni do drzwi...

— Nie! — krzyknął Mark. Nie! Zostań!

Rain już tego nie słyszała. Biegła otworzyć drzwi stukając o podłogę swoimi modnymi pantoflami na wysokich obcasach.

— Rain! — krzyczał Mark — Rain, nie otwieraj drzwi!... Nie otwieraj...

Jego krzyk przemienił się w głuchy szloch.

Była 7.01...

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

Fot. Gerd Rattai, NRD

Lewym okiem

O PRZEWROTNOŚCI I BIAŁYCH CZAPKACH

Niezależnie od faktu, że bardzo wiele dzieł sztuki i literatury nowoczesnej jest niezrozumiałych, co jednych denerwuje, drugich (znakomitą większość) całkowicie dla sztuki i literatury zobojętnia, trzecim daje asumpt do ucieszych prześmiewek z ciemnego kołtuna — wydaje mi się, że drugą rzucającą się w oczy cechą nowoczesnej twórczości artystycznej jest jej bezgraniczna, wielowarstwowa przewrotność. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę myślał autor i jakie myśli chciał wzbudzić w odbiorcy swego dzieła. Jakieś monstrualne perskie oko, jakieś uniki, domyślne cudzysłowy, przymrugiwania — ni to prawda, ni to persyflaż; ni to wyrafinowana kpina, ni proste ubóstwo umysłowe. Cecha ogromnie męcząca. Czyta człowiek coś jednoznacznie głupiego, już — już ma ochotę odłożyć rzecz ze wzruszeniem ramion, i nagle ogarniają go wątpliwości: a może to wszystko znaczy coś zupełnie innego, niż znaczy? Może robią ze mnie balona, żeby potem stanąć z boku i chichotać: ale dał się nabrać!

Nikt nie lubi, żeby z niego robili balona. Może dlatego pisarz Stanisław Zieliński z sentymentem wraca do lektury „Huraganu" Gąsiorowskiego, a kronikarz „Odgłosów", Jan Olechno, do „Zaklętego dworu" Łozińskiego. Tam niczego nie trzeba zgadywać, tam nie ma aluzji do aluzji, do aluzji, nie szuka się sensu między wierszami i zamiast wierszy.

Ta przewrotna wieloznaczność zaczyna się szerzyć także w twórczości publicystycznej, odejmując tej twórczości, a przynajmniej pomniejszając, jej rolę czynnika pobudzającego do dyskusji, do sprzeciwu, do zaangażowania się za czymś lub przeciw czemuś.

Czytałem przed rokiem w młodzieżowym tygodniku „ITD" coś niby wspomnienie, niby reportaż, niby korespondencję z wakacyjnego obozu studentów. Korespondencja pełna była drastycznych realiów, podanych bardzo rzeczowym tonem. Chciałem się oburzyć, dziwić się takiej wczesnej, takiej smutnej, takiej naplewatielskiej rzeczowości, alem się zreflektował: może to satyra na pojęcie dorosłych o młodzieżowym stylu bycia? Kpina z wapniaków? Lepiej było siedzieć cicho.

Nie wiem, czy dobra jest taka publicystyka, przy której wszyscy wolą siedzieć cicho, bo autor wszystkim, ze wszystkich stron barykady, podwiłował gałęzie, na których siedzą. A z tymi studentami to prawdziwy pech. Rzuciłem kiedyś lewym okiem na juwenalia studenckie w Łodzi i napisałem parę cierpkich słów o niesionych w pochodzie transparentach i paru jeszcze drobiazgach. Nie jest to żadna sprawa, chcą epatować mieszczan — niech epatują; trochę dziwne tylko, że jak już jeden — Ćwiek — się zepatował, to studenci się obrazili i ogłosili w naszym piśmie pełne oburzenia listy; jeden zakończony zdaniem: „hasła, przytoczone przez pana Redaktora, są rzeczywiście nie na miejscu", drugi ze zdaniem w środku: „...nie pochwalam niektórych haseł". Zdania te pasowały do całej reszty jak dzwonek do zajęczego ogonka, ale radość z nich była większa, niż smutek z owej reszty.

Pisałem wtedy także o braku czapek studenckich na głowach łódzkiej młodzieży. Są czapki! Ażem się pięć razy obejrzał na widok dziewczyn w białych rogatywkach. Jakże miły widok! Kolega Artur Rogo też się cieszy i pisze o tym w liście do „Odgłosów", wspominając Ćwieka. Dziękuję. Niestety, kolega Rogo jest na tyle nowoczesny w stylu, że do końca nie wiem, czy kpi z Ćwieka, czy go aprobuje. Czy po to wzywa do rozszyfrowania pseudonimu, żeby mi osobiście dopowiedzieć coś przyjemnego, czy wręcz odwrotnie. Nieważne.

Fajnie, że są te czapki. Popieram też wniosek szanownego korespondenta w sprawie znaczków uczelnianych. Będą na pewno i pamiątką i symbolem dumy, że się jest lub było słuchaczem tej uczelni. Ta duma już nie jest nieważna i o nią przecież chodziło w tamtym felietonie Ćwieka i w tym dzisiejszym.

A z rozszyfrowaniem pseudonimów nie ma chyba wielkich kłopotów. Wszyscy wiedzą, że KTT to Krzysztof Teodor Toeplitz, a Ćwiek (toutes les proportions gardées) — to właśnie ja.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 552. III. 1968. P-4.